Arka Noego dla wszystkich: nowa mowa o przetrwaniu

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje transformację energetyczną jako głęboki proces społeczny, wykraczający poza prostą wymianę technologii. Autor wprowadza pojęcie redeskrypcji – tworzenia nowych słowników działania, które nie niszczą poczucia godności i tożsamości osób związanych z sektorami schyłkowymi. Kluczowym elementem jest sprawiedliwość proceduralna, zapewniająca obywatelom realny wpływ na zmiany i poczucie współautorstwa. Tekst ostrzega przed 'epistemiczną amputacją', czyli odcinaniem nowoczesnych rozwiązań od żywych biografii i lokalnych tradycji. Proponowana 'Arka Noego' to wizja inkluzywnej transformacji, która buduje nową architekturę instytucjonalną, oferując bezpieczeństwo i status przed demontażem starych struktur, co jest warunkiem koniecznym dla społecznej akceptacji innowacji.

This article analyzes energy transition as a profound social process that goes beyond simple technological exchange. The author introduces the concept of redescription—creating new vocabularies of action that do not destroy the sense of dignity and identity of those involved in declining sectors. Procedural justice is a key element, ensuring citizens have a real say in change and a sense of co-authorship. The text warns against "epistemic amputation," or severing modern solutions from living biographies and local traditions. The proposed "Noah's Ark" is a vision of inclusive transformation that builds a new institutional architecture, offering security and status before the dismantling of old structures, a necessary condition for social acceptance of innovation.

Współczesna transformacja energetyczna, często sprowadzana do technokratycznego zarządzania emisjami, jest w istocie głębokim procesem społecznym wymagającym nowej definicji rozwoju. Artykuł postuluje odejście od narzuconych odgórnie, technokratycznych słowników na rzecz neopragmatycznej „redeskrypcji” – tworzenia

nowych sposobów opisu zmiany bez niszczenia więzi i sensów, które podtrzymują ludzkie życie. Autor przekonuje, że autentyczna transformacja nie może być jedynie wymianą technologii; musi ona stać się „remontem arki na wzburzonym morzu", gdzie modernizacja gospodarki odbywa się w zamieszkanym domu, z poszanowaniem lokalnej godności i pamięci. Kluczową tezą tekstu jest postulat sprawiedliwości proceduralnej: budowa zrównoważonej przyszłości wymaga, by obywatele stali się współautorami zmiany, a nie biernym materiałem podlegającym obróbce. Autor ostrzega przed upokorzeniem epistemicznym i technokratyczną arogancją, proponując model „instytucji uczących się", które traktują konflikt nie jako przeszkodę, lecz jako cenne źródło informacji o błędach systemu. W świecie pełnym niepewności, zrównoważony rozwój jawi się zatem nie jako gotowa utopia, lecz jako niekończący się, otwarty proces cywilizowanego uczenia się i ciągłej korekty kursu.

SŁOWA KLUCZOWE

transformacja energetyczna | redeskrypcja | sprawiedliwość proceduralna | ligatury | godność ludzka | sektory schyłkowe | edukacja triangulacyjna | akrazja | strategia oficjalizacji | kapitał symboliczny | współautorstwo zmiany | architektura instytucjonalna | tożsamość regionalna | zrównoważony rozwój | epistemiczna amputacja

Transformacja energetyczna: między technologią a ludzką godnością

Prawdziwym testem dla każdej teorii jest moment, w którym opuszcza ona sterylny gabinet pojęć i wchodzi w brutalny świat rachunków, protestów, procedur oraz lęków. Zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji, czyli praktyka tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie, nie może pozostać jedynie eleganckim ćwiczeniem filozoficznym. Musi on zostać poddany weryfikacji w miejscach, gdzie abstrakcyjne słowniki ścierają się z twardą materią codzienności. Dopiero tam, w ogniu administracyjnych terminów i krajobrazowych sporów, okazuje się, czy dana idea ma moc sprawczą, czy jest jedynie intelektualną

ozdobą. To właśnie w tym starciu rodzi się autentyczna zmiana, która wykracza poza ramy akademickich dysput.

Transformacja energetyczna, edukacja publiczna oraz zarządzanie nowoczesnymi organizacjami stanowią trzy kluczowe pola, na których ten proces się dokonuje. Każde z nich, choć operuje w innej skali, ujawnia ten sam fundamentalny problem: jak zmieniać świat, nie traktując przy tym ludzi jak bezwolnego materiału do obróbki. Transformacja energetyczna jawi się tu jako przypadek najostrzejszy, łącząc w sobie trzy wymiary rzeczywistości w sposób niemal laboratoryjnie czysty. W świecie pierwszym odnajdujemy paliwa, emisje, sieci przesyłowe oraz fizyczne bezpieczeństwo infrastruktury, które decydują o technicznej sprawności systemu. Z kolei świat trzeci to domena regulacji, strategii klimatycznych, unijnych taryf oraz modeli finansowania, które tworzą ramy dla naszych działań.

Pomiędzy nimi rozciąga się świat drugi – przestrzeń człowieka, który płaci rachunek, patrzy na turbinę za oknem i czuje dumę z górniczej genealogii swojego ojca. Jeżeli transformacja zostanie opisana wyłącznie językiem technicznym, pozostanie racjonalna na papierze, lecz okaże się społecznie krucha i podatna na odrzucenie. Słownik czysto moralny zamieni ją w kazanie dla osób pozbawionych realnych opcji działania, podczas gdy słownik rynkowy zredukuje odpowiedzialność do prostej zdolności nabywczej. Nawet język bezpieczeństwa narodowego, choć istotny, niesie ryzyko sprowadzenia obywateli do roli biernych odbiorców strategicznej konieczności. Potrzebujemy zatem słownika szans życiowych, który zapyta o naruszone ligatury, czyli głębokie więzi kulturowe nadające sens ludzkim działaniom, oraz o to, czy procedura pozwala ludziom czuć się współautorami zmiany.

Transformacja energetyczna nie jest przecież prostą wymianą technologii, lecz głęboką redeskrypcją całych regionów, zawodów i symbolicznych hierarchii. Kopalnia w tym ujęciu nie jest jedynie miejscem wydobycia surowca, lecz potężną instytucją społeczną, strukturą czasu i rdzeniem męskiej genealogii godności. Podobnie elektrownia nie stanowi wyłącznie emisyjnego aktywu, lecz jest pracodawcą i infrastrukturalnym sercem regionu, wokół którego buduje się lokalna klasa średnia. Gdy język transformacji operuje wyłącznie terminem „sektorów schyłkowych”, dokonuje on bolesnej epistemicznej amputacji, odcinając nowoczesną technologię od żywej biografii konkretnych ludzi. Nie oznacza to, że dawne sektory mają trwać wiecznie ze względu na swoje znaczenie symboliczne, gdyż byłaby to jedynie jałowa konserwacja przeszłości.

Musimy uznać, że świat pierwszy jest realny: emisje, ryzyka klimatyczne i koszty zdrowotne zanieczyszczeń to fakty, których nie da się zignorować. Jednak równie realna jest godność osób, które zostają poproszone lub wręcz zmuszone do przejścia przez ten gwałtowny proces zmiany. Dojrzała polityka nie powinna wybierać między ochroną klimatu a poszanowaniem godności, lecz

pytać, jak chronić planetę, nie niszcząc przy tym fundamentów ludzkiego szacunku. To właśnie jest istotą redeskrypcji: zamiast mówić o zamykaniu przestarzałego sektora, powinniśmy dążyć do przepisania kompetencji i dumy na nowy system energetyczny. Taka zmiana nie jest jedynie retoryczną kosmetyką, lecz fundamentem nowej architektury instytucjonalnej, która traktuje człowieka podmiotowo.

Budowa takiej architektury wymaga spełnienia kilku kluczowych warunków, z których najważniejszym jest tworzenie realnych opcji przed zerwaniem dotychczasowych więzi. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zapewnienie uczestnikom procesu poczucia realnego wpływu na planowane zmiany, staje się tu warunkiem koniecznym do uniknięcia oporu. Jeżeli region zależny od starego sektora otrzymuje informację o jego końcu bez wiarygodnej mapy nowych możliwości, będzie bronił starego świata z determinacją. Stary świat jest bowiem jedynym miejscem, w którym ci ludzie posiadają status, tożsamość oraz poczucie bezpieczeństwa. Transformacja w zamieszkanym domu musi zatem oferować nowy dach, zanim stary zostanie rozebrany, by nie pozostawić mieszkańców na pastwę niepewności.

Jak rozmawiać o zmianie, by nie budować murów między ludźmi

Sprawiedliwość proceduralna, czyli zapewnienie uczestnikom procesu poczucia realnego wpływu i podmiotowości, stanowi absolutny fundament każdej trwałej zmiany społecznej. Bez niej ludzie zaczynają czuć się jak statyści w cudzym, technokratycznym planie, co rodzi naturalny i uzasadniony opór. Nikt nie lubi, gdy o jego losie decyduje się w odległych gabinetach, nawet jeśli same decyzje wydają się merytorycznie słuszne. Prawdziwa transformacja wymaga współautorstwa, a nie tylko biernej akceptacji narzuconych z góry scenariuszy. Musimy wreszcie zrozumieć, że uznanie podmiotowości drugiego człowieka jest ważniejsze niż najprecyzyjniejszy harmonogram wdrożeń.

Kolejnym warunkiem jest rozpoznawanie strat symbolicznych, których nie da się przeliczyć na prosty ekwiwalent pieniężny. Odprawa finansowa może pomóc w fizycznym przetrwaniu trudnego okresu, ale rzadko zastępuje utracone poczucie sensu i tożsamości. Praca to nie tylko cyfry w arkuszu, to ligatury, czyli głębokie więzi i zakorzenienie kulturowe, które nadają znaczenie ludzkim działaniom. Kiedy znika tradycyjny przemysł, nie znika tylko źródło dochodu, lecz cały mikrokosmos wartości, dumy i międzypokoleniowej pamięci. Ignorowanie tego wymiaru jest błędem, którego nie naprawi żadna, nawet najbardziej hojna subwencja socjalna.

Nowa infrastruktura energetyczna musi również budować lokalną współwłasność korzyści, stając się częścią wspólnego gospodarstwa. Jeśli wiatrak czy farma słoneczna stoją w krajobrazie wspólnoty, mieszkańcy muszą widzieć w nich coś więcej niż tylko estetyczny koszt i obcy kapitał. Wspólnota powinna mieć realny udział w wypracowanej wartości, co może przejawiać się w niższych rachunkach lub lokalnych funduszach rozwojowych. Dopiero wtedy technologia przestaje być postrzegana jako intruz, a zaczyna być traktowana jako element wspólnego dobra. Bez tego mechanizmu każda instalacja będzie przeżywana jako symbol zewnętrznej dominacji.

Niezwykle ważne jest unikanie języka moralnej degradacji, który stygmatyzuje całe grupy społeczne. Nikt nie przyjmie zaproszenia do przyszłości, jeśli na wejściu zostanie nazwany „problemem" lub „hamulcem postępu". Język, który dzieli świat na oświeconych aktywistów i zacofanych tradycjonalistów, unieważnia dialog i zmusza drugą stronę do przyjęcia pozycji obronnej. Zamiast pedagogiki winy, potrzebujemy narracji, która uznaje dotychczasowy wysiłek i szuka nowych ról dla każdego uczestnika procesu. Szacunek jest bowiem walutą, bez której nie kupimy społecznego zaufania.

W transformacji energetycznej wyjątkowo łatwo pomylić solidarność z pouczaniem, co zazwyczaj kończy się komunikacyjną katastrofą. Mówienie ludziom, że ich dotychczasowy styl życia był nieodpowiedzialny, a ich lęk przed kosztami jest krótkowzroczny, buduje mury zamiast mostów. W takim tonie nawet najtrafniejsze elementy naukowej diagnozy zostają unieważnione przez protekcjonalny sposób ich podania. Człowiek przestaje wtedy słyszeć merytoryczne argumenty, a zaczyna słyszeć jedynie upokarzający werdykt. A werdykt, jak wiemy, rzadko zaprasza do wspólnego uczenia się; on raczej zmusza do budowania okopów.

Dlatego transformacja powinna być prowadzona jako proces nieustannego tłumaczenia między różnymi, często sprzecznymi słownikami. Słownik nauki mówi o emisjach, temperaturze i modelach, podczas gdy słownik ekonomii skupia się na kosztach, inwestycjach i efektywności. Słownik prawa operuje kompetencjami i procedurami, a słownik polityki zajmuje się legitymizacją i decyzją. Istnieje jednak także słownik antropologii, który mówi o miejscu, pracy, pamięci, lęku i dumie. Błąd zaczyna się wtedy, gdy jeden z tych języków – zazwyczaj technokratyczny – próbuje przebrać się za wszystkie pozostałe i zdominować debatę.

Ekspert energetyczny nie powinien udawać, że rozumie antropologię lokalnej godności lepiej niż ci, którzy tam żyją od pokoleń. Aktywista musi z kolei przyjąć do wiadomości, że moralna oczywistość nie rozwiązuje skomplikowanych problemów taryfowych i stabilności sieci. Ekonomista nie może ignorować kosztów symbolicznych tylko dlatego, że nie znalazł dla nich odpowiedniej kolumny w swoim modelu matematycznym. Prawnik zaś nie powinien łudzić się, że decyzja zgodna z

procedurą jest tożsama z decyzją społecznie uznaną. Każdy z nich widzi tylko fragment rzeczywistości, a udawanie wszechwiedzy prowadzi jedynie do arogancji.

W praktyce oznacza to konieczność tworzenia instytucji pośredniczących, które będą realnie moderować ten wielogłos. Transformacja nie może być jedynie sumą decyzji ministerstw, spółek i regulatorów, lecz musi mieć swoje fora lokalnego uczenia się. Programy przekwalifikowania powinny być projektowane wspólnie z pracownikami, a nie tylko dla nich, uwzględniając ich unikalne doświadczenie. Potrzebujemy mechanizmów udziału mieszkańców w projektach odnawialnych oraz pełnej jawności w kwestii kosztów i potencjalnych konfliktów. Nie chodzi o to, aby każda decyzja była jednomyślna, lecz o to, by nie była przeżywana jako obca inwazja.

Drugim kluczowym polem praktyki jest edukacja publiczna, która obecnie zbyt często zatrzymuje się na poziomie poprawnych zachowań. Uczymy dzieci segregowania odpadów i oszczędzania wody, co jest oczywiście potrzebne, ale dramatycznie niewystarczające w obliczu kryzysu. Taki model redukuje ucznia do roli wykonawcy norm, zamiast kształtować w nim zdolność do rozumienia złożonych konfliktów wartości. Celem nowoczesnej edukacji powinno być wychowanie człowieka, który potrafi poruszać się w świecie pełnym niejednoznaczności. Potrzebujemy edukacji triangulacyjnej, pozwalającej widzieć problem z wielu perspektyw jednocześnie.

Uczeń powinien umieć rozróżnić, co w danym problemie należy do świata materialnego, co do indywidualnego doświadczenia, a co do sfery instytucji. Weźmy smog: w świecie pierwszym są to pyły, źródła emisji i parametry techniczne pieców, czyli twarda fizyka. W świecie drugim mieści się lęk rodziców, wstyd ubóstwa energetycznego oraz gniew wobec narzucanych zakazów. Świat trzeci to normy jakości powietrza, programy dopłat, uchwały antysmogowe i medialne narracje o odpowiedzialności. Zrozumienie smogu wymaga widzenia wszystkich tych wymiarów naraz, bez upraszczania ich do jednego mianownika.

Uczeń, który rozumie tylko wymiar materialny, wyrośnie na technokratę, a ten, który widzi tylko emocje, zostanie sentymentalistą. Z kolei skupienie wyłącznie na procedurach i normach produkuje biurokratów, którzy nie widzą za paragrafami żywego człowieka. Edukacja powinna kształcić ludzi zdolnych do syntezy tych światów, bo tylko tacy obywatele poradzą sobie z wyzwaniami XXI wieku. Taka nauka musi również uwzględniać zjawisko akrazji, czyli działania wbrew własnej, lepszej wiedzy. Musimy przestać udawać, że sama informacja o szkodliwości jakiegoś działania automatycznie zmienia ludzkie nawyki.

W szkole warto rozmawiać o tym, dlaczego robimy rzeczy, o których wiemy, że są dla nas lub świata szkodliwe. Nie po to, by kogokolwiek zawstydzać, ale by zrozumieć strukturę ludzkiego działania, w której nawyki, status i lęk odgrywają kluczową rolę. Jeśli młody człowiek usłyszy tylko moralny

slogan o odpowiedzialności, otrzyma puste narzędzie, które zawiedzie go przy pierwszej próbie. Jeśli jednak zrozumie, że odpowiedzialność wymaga realnych opcji i ligatur, otrzyma potężny instrument analizy rzeczywistości. Edukacja powinna być zatem mniej kaznodziejska, a bardziej antropologiczna i analityczna.

Kolejną kompetencją jest krytyka strategii oficjalizacji, czyli demaskowanie praktyki polegającej na używaniu języka dobra wspólnego do maskowania partykularnych interesów. Uczniowie muszą rozumieć, że firma może mówić o zrównoważonym rozwoju głównie po to, by chronić swoją reputację i zyski. Państwo może używać retoryki bezpieczeństwa, by rozszerzać kontrolę nad obywatelem, a samorząd mówić o rewitalizacji, by ułatwić gentryfikację. Taka krytyka nie jest wyrazem paranoi, lecz dowodem na obywatelską dorosłość i odporność na manipulację. Społeczeństwo, które nie uczy rozpoznawania tych mechanizmów, wychowuje ludzi podatnych na najbardziej eleganckie formy dominacji.

Edukacja zrównoważonego rozwoju powinna uczyć czytania procedur, analizy konfliktów interesów oraz empatycznego słuchania cudzych słowników. Taka droga nie jest łatwa, ponieważ nie daje prostych odpowiedzi i nie pozwala na szybkie kartkówki z cnoty. Może jednak stworzyć obywateli zdolnych do funkcjonowania w społeczeństwie otwartym, które nie boi się różnorodności. A to jest warte znacznie więcej niż setka plakatów o szczęśliwej planecie z uśmiechniętym listkiem. W procesie tym kluczowe jest również unikanie upokorzenia epistemicznego wobec języka wyniesionego z domu.

Młody człowiek przychodzi do szkoły z bagażem językowym swojej rodziny, klasy społecznej czy regionu. Jeśli szkoła mówi mu, że ten język jest wyłącznie błędem, traci z nim kontakt i buduje w nim poczucie wyobcowania. Jeśli natomiast potrafi poddać ten język redeskrypcji, czyli procesowi tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie, może go twórczo poszerzyć. To jest właśnie różnica między edukacją emancypacyjną, która daje narzędzia do rozwoju, a edukacją kolonizującą, która narzuca obcy wzorzec.

Dobra edukacja powinna pracować metaforami, które działają jak mosty nad przepaściami niezrozumienia. Metafora „transformacji w zamieszkanym domu” pozwala rozmawiać o zmianie bez pogardy dla przeszłości i dotychczasowego dorobku. „Opcje i ligatury” pozwalają zrozumieć, że wolność potrzebuje sensu, a więź potrzebuje możliwości wyjścia. „Recykling słowników” pokazuje, że nowe nie musi niszczyć starego, lecz może je twórczo przekształcać w coś bardziej adekwatnego. Dzięki takim obrazom możemy mówić o solidarności bez metafizycznego przymusu, budując „my”, które jest szersze i bardziej inkluzywne.

Trzecim polem praktyki są organizacje, gdzie zrównoważony rozwój bywa często sprowadzany do biurokratycznej scenografii raportów ESG. Choć raportowanie i zgodność regulacyjna mają swoje znaczenie, nie mogą one stać się jedynie wizerunkową fasadą. Organizacja zrównoważona to nie ta, która sprawnie operuje poprawnym językiem, lecz ta, która potrafi uczyć się z wewnętrznych i zewnętrznych konfliktów. W modelu neopragmatycznym konflikt poznawczy jest traktowany jako cenna informacja o tym, że system nie obejmuje pewnej części doświadczenia.

Jeżeli pracownicy nie ufają strategii organizacji, może to nie wynikać z ich cynizmu, lecz z realnego rozdźwięku między deklaracjami a praktyką. Jeżeli dostawcy buntują się przeciw nowym standardom, może to oznaczać, że standardy te niesprawiedliwie przerzucają koszty na słabszych uczestników rynku. Jeżeli społeczność lokalna nie akceptuje inwestycji, firma musi zrozumieć, że dla niej to tylko lokalizacja, a dla mieszkańców – ich dom. Społeczeństwo otwarte nie jest rajem wiecznej zgody, lecz ustrojem nieustannej korekty, w którym silne instytucje potrafią zmieniać język bez utraty odpowiedzialności.

Od korporacyjnego makijażu do autentycznej organizacji uczącej się

Z perspektywy Dahrendorfa, socjologa wolności, każda organizacja powinna przede wszystkim pytać o to, jakie realne opcje tworzy dla swoich ludzi. Czy pracownik dysponuje autentycznymi ścieżkami rozwoju, czy też jego jedynym prawem pozostaje obowiązek nieustannej, męczącej adaptacji do narzuconych odgórnie warunków? Musimy wreszcie rozstrzygnąć, czy elastyczność jest w danym miejscu wyborem, czy może subtelną formą przymusu. Ważne jest również, czy kultura organizacyjna stanowi ligaturę sensu, czyli głęboką więź nadającą znaczenie ludzkim działaniom, czy jest jedynie wyrafinowanym narzędziem kontroli. Wartości firmy powinny być etyczne, a więc przyjmowane w sposób refleksyjny, zamiast być moralizatorskim gorsetem narzucanym z zewnątrz. Ostatecznie trzeba zapytać, czy instytucja wspiera prywatną samokreację pracowników, czy cynicznie używa jej jako retorycznego parawanu dla samoodpowiedzialności.

Współczesny żargon korporacyjny wyjątkowo chętnie szafuje hasłami o rozwijaniu siebie, byciu przedsiębiorczym czy umiejętnym zarządzaniu własną energią. Wszystkie te wezwania do skalowania kompetencji mogą brzmieć wzmacniająco, a nawet inspirująco w blasku konferencyjnych reflektorów. Niemniej jednak, jeśli organizacja nie zapewnia realnego czasu, elementarnego bezpieczeństwa oraz uczciwych reguł gry, ten język staje się jedynie pięknym opakowaniem dla głębokiej samotności jednostki. Tu właśnie ujawnia się szczególna, gorzka ironia współczesnego świata biznesu, która rzuca cień na deklarowane ideały. Firmy z pasją opowiadają o

zrównoważeniu, jednocześnie projektując modele pracy, które w swojej istocie są głęboko niezrównoważone psychicznie. To klasyczny przykład dysonansu, w którym wzniosłe słowa o odpowiedzialności społecznej zderzają się z brutalną praktyką traktowania wypalenia zawodowego jako błędu w indywidualnym zarządzaniu sobą.

W tej korporacyjnej grze pozorów mówi się wiele o różnorodności, lecz w praktyce premiuje się wyłącznie jeden, konkretny typ dyspozycyjności. Innowacja jest odmieniana przez wszystkie przypadki, ale systemowa kara za błąd skutecznie dusi jakąkolwiek odwagę do eksperymentowania. Deklarowana partycypacja często kończy się tam, gdzie zaczynają się realne decyzje, zapadające zazwyczaj w hermetycznie zamkniętych, wąskich kręgach władzy. Wartości, zamiast stanowić fundament działania, stają się wtedy jedynie estetyczną tapetą na ścianie, za którą kryje się bezwzględna presja wynikowa. Takie podejście nie ma nic wspólnego ze zrównoważonym rozwojem, gdyż jest to jedynie korporacyjna sztuka makijażu. Trzeba jednak pamiętać, że nawet najbardziej ekologiczny makijaż nie jest w stanie uleczyć głębokiej, organizacyjnej anemii.

Autentyczna organizacja ucząca się musi posiadać zdolność do redeskrypcji, czyli procesu tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie. Powinna ona regularnie i z pewną dozą niepokoju pytać, czy jej dotychczasowe pojęcia nie uległy już całkowitemu zużyciu. Czy pod modnym hasłem „efektywności" nie kryje się po prostu cyniczne przerzucanie kosztów na barki zmęczonych ludzi? Czy „odpowiedzialność" wciąż oznacza sprawczość, czy stała się już tylko nowym imieniem dla totalnej kontroli? Wszak zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji wymaga odwagi do przyznania, że „zwinność" bywa czasem eufemizmem dla chronicznego chaosu. Organizacja, która nie potrafi zadawać sobie takich pytań, będzie jedynie reprodukować własne ślepoty, nawet jeśli powoła do życia dział sustainability o niezwykle nowoczesnej nazwie.

W nowoczesnym zarządzaniu kluczowe znaczenie ma pojęcie upokorzenia epistemicznego, które polega na systemowym unieważnianiu wiedzy praktycznej posiadanej przez pracowników. Operator na produkcji, pielęgniarka, nauczyciel czy pracownik obsługi klienta często wiedzą o realnych problemach znacznie więcej niż odizolowane centrum strategiczne. Niestety, ich bezcenna wiedza rzadko znajduje język, który byłby uznawany i szanowany przez oficjalne struktury organizacji. Jeśli instytucja słucha wyłącznie suchych raportów i kolorowych dashboardów, nieuchronnie traci kontakt z praktycznym światem, w którym toczy się prawdziwe życie. Potem następuje zwykle wielkie zdziwienie kryzysem, który dla pracowników liniowych był widoczny i oczywisty od bardzo dawna. Katastrofa w biznesie bywa niespodzianką głównie dla tych, którzy zignorowali sygnały płynące z dołu hierarchii.

Zrównoważona organizacja musi zatem tworzyć trwałe struktury głosu, zamiast polegać na symbolicznych ankietach satysfakcji. Wyniki takich badań zbyt często lądują w zapomnianych prezentacjach, by ostatecznie spocząć w spokoju korporacyjnego archiwum. Chodzi o realne mechanizmy, które pozwalają wiedzy praktycznej realnie wpływać na kluczowe decyzje podejmowane przez zarządy. Otwarty proces uczenia się wymaga drożnych kanałów dissentu oraz prawa do głośnego powiedzenia, że przyjęta strategia po prostu nie działa w terenie. Wymaga to przywództwa zdolnego usłyszeć, że nawet najpiękniejszy plan może nieść ze sobą wyjątkowo brzydkie i destrukcyjne skutki. Bez tej gotowości na konfrontację z prawdą, organizacja pozostanie przy dekoracyjnej partycypacji, cierpiąc jednocześnie na realną ślepotę.

Podobne wyzwania stoją przed administracją publiczną, która nie może być wyłącznie bezdusznym aparatem do wdrażania odgórnych wytycznych. Administracja ucząca się musi stać się systemem słuchania, korekty i ciągłego tłumaczenia potrzeb społecznych na język procedur. Urzędnik lokalny, który na co dzień styka się z problemami obywateli, powinien być traktowany jako czuły sensor rzeczywistości, a nie tylko trybik w maszynie. Jeśli państwo przestaje słuchać własnych czujników, zaczyna sterować według mapy, która wygląda nienagannie w centrali, ale zupełnie nie zgadza się z terenem. Przypomina to nawigację, która uparcie każe skręcić w jezioro, ponieważ w nieaktualnej bazie danych wciąż widnieje tam szeroka droga. Technokracja, mimo dostępu do ogromnej ilości danych, bywa bowiem wyposażona w wyjątkowo słaby GPS.

Praktyczna redeskrypcja wymaga również radykalnej zmiany myślenia o tym, co i w jaki sposób decydujemy się mierzyć. Mierniki są oczywiście potrzebne, ale każdy z nich powinien być poddawany nieustannej, surowej krytyce ze strony tych, których dotyczy. Musimy pytać, jakie zachowania wymusza dany wskaźnik i jakie realne koszty ukrywa on pod gładką powierzchnią liczb. Organizacje często ulegają złudzeniu, że to, co jest mierzone, jest automatycznie dobrze zarządzane, podczas gdy rzeczywistość bywa dokładnie odwrotna. Źle dobrany wskaźnik zarządza organizacją fatalnie, stając się narzędziem tresury zamiast wsparcia dla procesu wspólnego uczenia się. Różnica między rozwojem a kontrolą zależy od tego, czy system pozwala pracownikom kwestionować sens samych mierników.

Na koniec trzeba powrócić do kwestii systemów AI, które coraz częściej będą uczestniczyć w zarządzaniu procesami zrównoważonego rozwoju. Algorytmy mogą wspierać analizę energetyczną czy optymalizację transportu, ale każdy z nich działa w ramach określonego, narzuconego mu słownika. Jeśli kategorie te będą technokratycznie ubogie, sztuczna inteligencja jedynie przyspieszy proces degradacji relacji międzyludzkich w organizacjach. Społeczeństwo otwarte nie jest rajem zgody, lecz ustrojem korekty, dlatego AI musi być projektowane z uwzględnieniem tej dynamiki. Jeśli modele będą wrażliwe na ludzkie opcje i ligatury, mogą realnie pomóc nam poszerzać pole

widzenia zamiast je zawężać. W przeciwnym razie AI stanie się jedynie kolejnym narzędziem w maszynie oficjalizacji, zamieniając żywy dialog w martwą, administracyjną papkę.

Algorytmy, sprawiedliwość i etyka realnej zmiany

Nie wolno nam mylić predykcji z rozumieniem, gdyż algorytm, choć sprawnie przewiduje ryzyko protestu, rzadko pojmuje godność, która za tym oporem stoi. Potrafi on bezbłędnie wykryć wzorce zachowań konsumenckich, lecz nie dostrzega sensu ligatur, czyli głębokich więzi i zakorzenienia kulturowego, które nadają sens ludzkim działaniom. Maszyna streści konsultacje społeczne, ale w tym procesie, zwanym mechanizmem oficjalizacji, czyli ryzykiem wykorzystania technologii do wygładzania trudnych i wielogłosowych narracji, łatwo zgubić ton, gniew czy ironię. Zoptymalizuje trasę transportu, nie rozumiejąc wszakże, że dla wykluczonego mieszkańca przystanek to warunek uczestnictwa w życiu, a nie tylko punkt mobilności. Sztuczna inteligencja liczy szybciej, lecz nie zwalnia instytucji z odpowiedzialności za język, bo szybciej często oznacza jedynie ruch w złym kierunku.

Praktyczne zastosowanie AI w zrównoważonym rozwoju powinno być zatem podporządkowane zasadzie wspomagania triangulacji, czyli wielostronnego sprawdzania i uzgadniania perspektyw. Model może pomagać tłumaczyć hermetyczny język ekspercki na obywatelski i odwrotnie, budując mosty tam, gdzie dotąd panowało wzajemne niezrozumienie. Może identyfikować powtarzające się obawy w konsultacjach oraz wykrywać grupy, których głos został pominięty w procesie planowania. Potrafi symulować skutki rozwiązań dla różnych profili gospodarstw domowych, sprawdzając przy tym, czy komunikat nie zawiera tonu upokorzenia. Niemniej jednak technologia nie powinna zamykać sporu ani zastępować procedury, gdyż nie wolno produkować pozoru obiektywności tam, gdzie mamy do czynienia z realnym konfliktem wartości.

W praktyce redeskrypcja, czyli proces tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie, musi stać się także językiem finansowania. To, co nie posiada zabezpieczenia budżetowego, pozostaje jedynie moralnym życzeniem, podczas gdy sprawiedliwość szans wymaga realnych pieniędzy, sprawnych instytucji oraz czasu. Jeśli państwo oczekuje od obywateli modernizacji domów, musi zapewnić im konkretne narzędzia finansowe, doradcze i wykonawcze, by zmiana nie była ciężarem. Podobnie firma wymagająca od dostawców standardów środowiskowych powinna pomóc im w kosztach dostosowania, zamiast tworzyć bariery wejścia. Bez realnego finansowania współczucie staje się literaturą, a solidarność jedynie wymówką dla braku realnego działania.

Z tej perspektywy najważniejsza praktyczna zasada brzmi: nie wymagaj zmiany bez opcji zmiany, co powinno być wyryte nad drzwiami każdej instytucji projektującej transformację. Pamiętajmy, że jest to transformacja w zamieszkanym domu, gdzie nie można po prostu wyłączyć mediów na czas remontu. Jeżeli system wymusza ograniczenie emisji, musi jednocześnie wskazać dostępną technologię, a jeśli oczekuje nowych kompetencji, powinien zapewnić darmową edukację. Zmiana mobilności wymaga budowy transportu, a żądanie partycypacji musi wiązać się z oddaniem ludziom realnego wpływu na ich otoczenie. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zapewnienie uczestnikom poczucia podmiotowości w planowaniu zmian, wymaga, by koszty odpowiedzialności były rozdzielane uczciwie i bez upokarzania słabszych stron. Inaczej nie tworzymy zrównoważonego rozwoju, lecz jedynie generujemy moralną presję pozbawioną niezbędnej infrastruktury.

Drugą zasadą praktyczną jest zakaz zrywania ligatur bez odpowiedniego rytuału przejścia, ponieważ społeczeństwa potrzebują symbolicznych form uznania poniesionej straty. Transformacja, która niszczy dawne zawody, krajobrazy czy lokalne hierarchie, musi wypracować język przejścia, zamiast oferować jedynie technokratyczne wskaźniki. Nie chodzi tu o budowanie sentymentalnych pomników dla każdej przeszłości, lecz o uznanie, że ludzie nie przechodzą między systemami jak pliki kopiowane między folderami. Potrzebują oni opowieści pozwalającej zachować godność, w której ich dotychczasowy wysiłek jest fundamentem przyszłości, a nie powodem do wstydu. Region przemysłowy wymaga redeskrypcji własnej historii jako wkładu w rozwój, a nie jako winy za stan planety.

Wieś potrzebuje nie tylko surowych regulacji środowiskowych, ale także uznania wiedzy praktycznej rolników, która często umyka teoretycznym modelom. Miasto z kolei wymaga rozmowy o tym, czy nowa, zielona estetyka nie staje się narzędziem wypychania mniej zamożnych mieszkańców poza nawias wspólnoty. Trzecią zasadą jest traktowanie konfliktu jako danych jakościowych wysokiej wagi, a nie jako przeszkody, którą należy za wszelką cenę usunąć. W systemach technokratycznych spór jest często interpretowany jako ryzyko reputacyjne, tymczasem konflikt poznawczy, czyli spór traktowany jako sygnał o błędach instytucjonalnych, pozwala na korygowanie procedur. Zrównoważony rozwój, rozumiany jako otwarty proces cywilizowanego uczenia się, a nie gotowy stan, umożliwia poszerzanie wspólnoty w warunkach nieuchronnego konfliktu interesów.

Między pożarem a rozmową: jak uniknąć fałszywej szybkości

W społeczeństwie otwartym konflikt pełni funkcję kluczowego sygnału poznawczego, będąc swoistą czerwoną lampką na desce rozdzielczej systemu. Oczywiście, spór bywa manipulowany, partykularny, agresywny lub oparty na ordynarnej dezinformacji, niemniej nawet w takich przypadkach należy pytać, dlaczego konkretna narracja zyskała tak niszczycielską siłę. Złe informacje najchętniej kiełkują w jałowej glebie braku zaufania, ten zaś wyrasta wszędzie tam, gdzie wcześniejsze procedury miały charakter czysto fasadowy. Procedury pozorne pojawiają się z kolei w miejscach, w których instytucje wyżej ceniły sztywną kontrolę niż autentyczną rozmowę. Konflikt mówi nam zatem nie tylko o samym przedmiocie bieżącego sporu, ale przede wszystkim o długiej i często zaniedbanej historii wzajemnych relacji.

Czwartą zasadą mądrego zarządzania zmianą jest kategoryczne rozróżnienie: nie wolno mylić komunikacji z redeskrypcją. Komunikacja w wydaniu korporacyjnym oznacza zazwyczaj jedynie sprawniejsze przekazanie już ustalonego, nienaruszalnego sensu. Redeskrypcja, czyli proces tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie, oznacza natomiast realną gotowość do zmiany znaczenia problemu pod wpływem spotkania z drugim człowiekiem. Instytucje wręcz uwielbiają mówić o komunikacji, ponieważ ta, w swojej technokratycznej formie, w żaden sposób nie zagraża ich fundamentalnym założeniom. Redeskrypcja jest dla nich znacznie groźniejsza, gdyż może obnażyć fakt, że dany problem został od początku źle zdefiniowany lub nazwany w sposób wykluczający.

Przyjrzyjmy się konkretom: instytucja często deklaruje chęć „komunikowania korzyści z inwestycji", podczas gdy rzetelna redeskrypcja ujawnia, że głównym problemem wcale nie jest brak wiedzy o zyskach, lecz głęboki brak zaufania do sprawiedliwej dystrybucji kosztów. Firma może ogłaszać program „edukowania dostawców", choć w rzeczywistości to redeskrypcja pokazuje, że nowe wymogi zostały zaprojektowane wyłącznie pod możliwości największych graczy rynkowych. Podobnie szkoła, która zamierza „kształtować postawy", często nie dostrzega, że uczniowie potrzebują realnej sprawczości, a nie kolejnej listy moralnych powinności. Piąta zasada brzmi zatem: projektuj instytucje w taki sposób, aby posiadały strukturalną zdolność do przyznania się do błędu.

To właśnie stanowi sedno fallibilizmu, czyli filozoficznego uznania własnej omylności, które powinno stać u podstaw nowoczesnej administracji. Instytucje panicznie boją się błędu, wierząc naiwnie, że każda pomyłka zagraża ich autorytetowi, podczas gdy w rzeczywistości najbardziej zagraża mu chroniczna niezdolność do autokorekty. W procesach tak złożonych jak transformacja

energetyczna błędy są po prostu nieuniknione i wpisane w naturę działania. Kluczowe pytanie nie brzmi, czy się pomylimy, lecz czy błędy zostaną wykryte wystarczająco szybko, czy też będą zamiatane pod dywan aż do momentu niekontrolowanego kryzysu. Społeczeństwo otwarte potrzebuje zatem rzetelnych procedur ewaluacji, pilotaży, niezależnej kontroli oraz odwagi do zmiany kursu, gdy dane wskazują na mieliznę.

Polityka, która twierdzi, że nigdy się nie myli, jest albo rzadkim cudem, albo – co znacznie bardziej prawdopodobne – prymitywną propagandą. Cuda w codziennej pracy administracji zdarzają się nadzwyczaj rzadko, propaganda natomiast jest chlebem powszednim systemów zamkniętych. Praktyczna synteza tych reguł prowadzi nas do modelu instytucji uczącej się przez współczucie, co może brzmieć miękko, lecz w rzeczywistości jest organizacyjnie twarde i wymagające. Taka instytucja uznaje realność świata pierwszego, czyli twardych danych i ograniczeń materialnych, ale jednocześnie uważnie słucha świata drugiego, czyli subiektywnych doświadczeń ludzi. Potrafi ona krytykować własny świat trzeci, na który składają się procedury, wskaźniki i urzędowe słowniki, tworząc realne opcje wyboru, zanim wymusi jakąkolwiek zmianę.

Instytucja taka szanuje ligatury, czyli głębokie więzi i zakorzenienie kulturowe nadające sens ludzkim działaniom, zanim podejmie próbę ich przebudowy. Traktuje ona konflikt jako cenne źródło wiedzy, unika upokarzania oponentów i nigdy nie myli tabeli w raporcie z żywą rzeczywistością. Największą przeszkodą dla wdrożenia takiego modelu nie jest wcale brak inteligencji czy niedobór danych, lecz wszechobecny konformizm instytucjonalny. Ludzie wewnątrz organizacji doskonale wiedzą, że ich język bywa pusty, konsultacje społeczne są teatralne, a wskaźniki sukcesu – całkowicie ślepe na realne problemy. Mimo to grają w tę grę dalej, ponieważ obecny system nagradza bezrefleksyjną zgodność, a nie odważną diagnozę stanu faktycznego.

Zrównoważony rozwój wymaga dziś odwagi przerwania tej jałowej zabawy w oficjalność i powiedzenia wprost: ten słownik się zużył, a ten wskaźnik kłamie przez przemilczenie. Musimy umieć przyznać, że dana procedura nie słucha obywateli, a konkretna strategia tworzy szerokie opcje dla jednych, podczas gdy dla innych staje się pułapką. Są to zdania skrajnie niewygodne, lecz bez nich społeczeństwo otwarte staje się jedynie estetyczną dekoracją na branżowej konferencji. Warto w tym miejscu przypomnieć, że zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji nie jest gotową utopią, lecz niekończącą się rozmową. To stwierdzenie nie jest poetycką puentą, lecz konkretną metodą zarządzania złożonością w świecie pełnym niepewności.

Utopia obiecuje nam ostateczny koniec konfliktów, podczas gdy proces uczenia się zakłada, że spór jest niezbędnym paliwem dla każdej sensownej korekty. Utopia mówi autorytarnie: „wiemy dokładnie, dokąd idziemy”, proces zaś odpowiada: „znamy kierunki naszej odpowiedzialności, ale droga wymaga stałej renegocjacji”. Podczas gdy utopia kocha posłuszeństwo i plan, proces

potrzebuje głosu i krytyki, nie chcąc upokarzać tych, którzy nie mieszczą się w pierwotnym schemacie. Dlatego właśnie transformacja energetyczna, edukacja publiczna i organizacje uczące się są trzema wymiarami tej samej praktyki. Energetyka przypomina nam o materialnej powadze świata, edukacja uczy rozumienia tej powagi bez moralnego tresowania, a organizacje sprawdzają, czy nasze deklaracje potrafią stać się strukturą.

Jeśli te trzy pola pozostaną od siebie oddzielone, zrównoważony rozwój będzie kaleki i niezdolny do przetrwania próby czasu. Technologia pozbawiona edukacji stworzy systemy całkowicie niezrozumiałe dla użytkowników, a edukacja bez praktyki organizacyjnej zrodzi jedynie głębokie rozczarowanie. Najkrótsza formuła praktyczna dla tego ekosystemu brzmi: chroń klimat, ale nie niszcz przy tym rozmowy; modernizuj gospodarkę, ale nie upokarzaj pracy. Ucz odpowiedzialności, unikając infantylizowania ucznia, i mierz postęp, nigdy nie myląc statystycznego wskaźnika z żywym człowiekiem. Wdrażaj odważne strategie, ale pozwól im na błędy, i korzystaj z AI, nie nadając jej przy tym fałszywej, metafizycznej korony.

Buduj solidarność, zostawiając jednocześnie miejsce na indywidualną samokreację, i poszerzaj dostępne opcje, nie lekceważąc znaczenia ligatur. Projektuj przyszłość z rozmachem, ale pamiętaj, że ludzie, dla których to robisz, nadal mieszkają w swojej trudnej teraźniejszości. Każda teoria, która aspiruje do bycia czymś więcej niż tylko elegancką autoterapią dla intelektualnych elit, musi przejść przez ogień bezlitosnej krytyki. Zrównoważony rozwój oparty na neopragmatyzmie i triangulacji trzech światów budzi sprzeciw z niemal każdej strony ideologicznego sporu. Krytykują go technokraci za rzekomą powolność, radykalni ekologowie za antropocentryzm, a marksiści za zbyt słabą analizę kapitału, co należy uznać za naturalny element procesu.

Te głosy krytyczne są niezwykle ważne i należy je traktować nie jako irytującą przeszkodę, lecz jako test wytrzymałości naszego słownika. W duchu społeczeństwa otwartego dobra teoria nie powinna bać się przeciwnika, lecz własnego, usypiającego komfortu i braku konfrontacji z rzeczywistością. Teoria, która nie dopuszcza do siebie krytyki, błyskawicznie zamienia się w martwą doktrynę, a doktryna pozbawiona ironii zawsze zaczyna flirtować z przymusem. Pierwsza poważna krytyka płynie ze strony technokratów, których argument wydaje się na pierwszy rzut oka niezwykle mocny i logiczny. Twierdzą oni, że kryzys klimatyczny i geopolityczna niestabilność nie zostawiają nam czasu na „niekończące się rozmowy” i proceduralne subtelności.

W oczach technokraty potrzebujemy natychmiastowych decyzji, skalowania technologii i twardych regulacji, a nie dyskusji o upokorzeniu czy lokalnych słownikach. Dla niego neopragmatyczna redeskrypcja wygląda jak filozoficzny hamulec ręczny zaciągnięty na autostradzie prowadzącej wprost ku klimatycznej katastrofie. Ten zarzut trzeba potraktować z najwyższą powagą, gdyż świat pierwszy rzeczywiście stawia nam nieprzekraczalne, fizyczne granice. Emisji nie obniży się samą

retoryką, a infrastruktury krytycznej nie zbuduje się wyłącznie za pomocą współczucia. Państwa i firmy potrzebują sprawnego planowania i egzekucji, a kto udaje, że sama deliberacja zastąpi technologię, ten myli społeczeństwo otwarte z akademickim klubem dyskusyjnym.

Świat nie jest bowiem salonem debat, lecz czasem przypomina maszynownię statku w trakcie groźnego pożaru, gdzie liczy się każda sekunda. Niemniej technokrata często popełnia kardynalny błąd, myląc szybkość decyzji na papierze z jej realną wykonalnością społeczną. Decyzja może być błyskawiczna w gabinecie, ale tragicznie powolna w rzeczywistości, jeśli wywoła masowe protesty, sabotowanie wdrożeń i polityczny odwet. Historia wielkich transformacji uczy nas, że ignorowanie doświadczenia społecznego nie przyspiesza zmiany, lecz tworzy ogromny, ukryty dług zaufania. Dług ten bywa znacznie groźniejszy niż finansowy, gdyż nie da się go spłacić obligacją. Odpowiedź neopragmatyczna jest więc jasna: nie chodzi o rozmowę zamiast decyzji, lecz o decyzję, która posiada zdolność do uczenia się i unikania fałszywej szybkości. Współczucie nie jest tu przeciwieństwem sprawności, lecz warunkiem dostrzeżenia kosztów, których żaden model techniczny nie jest w stanie samodzielnie wyliczyć.

Między naturą a tradycją: jak redeskrybować wspólne wartości

Uznanie lokalnych ligatur, czyli tych głębokich więzi i zakorzenienia kulturowego, które nadają sens ludzkim działaniom, wcale nie musi oznaczać bezwarunkowej kapitulacji przed każdym lokalnym partykularyzmem. Chodzi raczej o uniknięcie tego, co można nazwać głupim upokorzeniem – błędu polegającego na traktowaniu ludzi jak przeszkód na drodze postępu, co nieuchronnie zamienia potencjalnych współautorów zmiany w jej zaciekłych przeciwników. Technokracja, wiecznie spóźniona i zdyszana, uwielbia powtarzać swoją ulubioną mantrę: „nie mamy czasu na zbędne debaty". Neopragmatyzm odpowiada na to z analitycznym spokojem: właśnie dlatego, że czasu jest mało, nie stać nas na marnowanie go na produkowanie oporu społecznego poprzez narzucanie ludziom słownika, którego nie rozumieją lub którym gardzą. Silne są nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają języka, lecz te, które potrafią zmieniać język bez utraty odpowiedzialności za wspólnotę.

Druga fala krytyki uderza z pozycji radykalnej ekologii oraz biocentryzmu, oskarżając liberalny model o nieuleczalny narcyzm gatunkowy. Przedstawiciele tych nurtów słusznie zauważają, że neopragmatyczne ujęcie może wydawać się zbyt ludzkie, zbyt mocno osadzone w kategoriach szans życiowych, godności czy solidarności społecznej. W ich oczach natura nie może być jedynie „światem pierwszym", czyli tą niemą materią, która stawia opór naszym opisom, ale sama w sobie

nie ma nic do powiedzenia. Postulują oni uznanie wartości samoistnej przyrody, w której gatunki, ekosystemy czy rzeki nie są jedynie zasobami czekającymi na ludzką wycenę. Jeżeli zrównoważony rozwój pozostanie wyłącznie projektem humanistycznym, może nieświadomie reprodukować ten sam antropocentryzm, który w pierwszej kolejności doprowadził nas na skraj katastrofy.

Ta krytyka posiada ogromną siłę rażenia, ponieważ nowoczesność rzeczywiście zbyt długo traktowała przyrodę jako darmowy magazyn, scenę dla ludzkich dramatów lub przestrzeń bezlitosnej eksploatacji. Współczesna korekta ekologiczna wymaga od nas bolesnego uznania, że człowiek nie jest suwerenem biosfery, lecz jej integralną, choć wyjątkowo kłopotliwą częścią. Nauki o systemie Ziemi oraz koncepcje granic planetarnych jasno wskazują, że przyroda musi zostać podniesiona z poziomu niemego tła do rangi aktywnego uczestnika naszego myślenia o przyszłości. Widać to wyraźnie w debatach o sprawiedliwości energetycznej (energy justice), gdzie sprawiedliwość transformacji nie dotyczy już tylko podziału kosztów, ale obejmuje także procedury i uznanie grup wcześniej marginalizowanych. Nowsze prace dodają do tego wymiar epistemiczny, pytając prowokacyjnie, czyje formy wiedzy i jakie doświadczenia są w ogóle dopuszczane do definiowania problemów energetycznych.

Jednak neopragmatyczna odpowiedź na te zarzuty wcale nie musi być formą antropocentrycznej kapitulacji czy ignorancji. Możemy uczciwie przyznać: przyroda ma fundamentalne znaczenie moralne, ale to my, ludzie, tworzymy słowniki, w których to znaczenie staje się normą prawną, instytucją czy konkretnym obowiązkiem. Nawet gdy z pasją dyskutujemy o prawach rzeki, osobowości prawnej lasu czy wartości samoistnej zagrożonych gatunków, wciąż posługujemy się ludzkim językiem prawnym i moralnym. To nie jest próba unieważnienia przyrody, lecz przypomnienie, że odpowiedzialność za te normatywne przekłady spoczywa wyłącznie na naszych barkach. Natura, mimo całej swej potęgi, nie pisze ustaw, nie składa wniosków do sądu i nie negocjuje traktatów klimatycznych.

Natura może nas jednak zmusić do napisania znacznie lepszych ustaw, stawiając twardy opór naszym dotychczasowym, wadliwym opisom rzeczywistości. Źródłowe ujęcie neopragmatyczne nie musi więc redukować przyrody do roli narzędzia ludzkiej użyteczności, lecz może włączyć jej ochronę w proces rozszerzania pojęcia „my”. Choć Richard Rorty pisał głównie o solidarności międzyludzkiej, logika redeskrypcji pozwala nam rozszerzać wspólnotę troski na byty pozaludzkie, o ile potrafimy stworzyć słowniki czyniące ich kruchość widzialną. Nie jest to metafizyczne udowadnianie praw natury, lecz pragmatyczne zobowiązanie do takiego opisu świata, który minimalizuje niszczenie warunków podtrzymujących życie. Radykalny ekolog może uznać to za projekt zbyt skromny, ale warto pamiętać, że skromność bywa często ceną politycznej wykonalności.

Trzecia krytyka pochodzi od komunitarian, którzy zarzucają neopragmatyzmowi, że jego wizja samokreacji jest zbyt indywidualistyczna i oderwana od wspólnotowych źródeł sensu. Twierdzą oni, że liberalny ironista przypomina kogoś, kto próbuje budować tożsamość w prywatnym laboratorium metafor, ignorując fakt, że człowiek nie wybiera siebie jak książki z półki. Jesteśmy przecież głęboko zakorzenieni w rodzinie, tradycji, religii, klasie i pamięci miejsca, a te więzi nie są jedynie opcjonalnymi dodatkami do naszej osobowości. Jeśli zrównoważony rozwój oprze się na zbyt lekkiej, niemal turystycznej koncepcji tożsamości, nigdy nie zrozumie, dlaczego ludzie bronią swoich lokalnych ligatur z taką determinacją. Ta krytyka trafia w czuły punkt płytkiego liberalizmu, ale nie obala koncepcji Dahrendorfa, która ligatury traktuje jako fundament ludzkiej kondycji.

Wspomniana koncepcja nie twierdzi przecież, że jednostka istnieje w próżni, poza wszelkimi więziami społecznymi. Mówi raczej coś znacznie bardziej subtelnego: więzi nadają sens naszym opcjom, ale bez realnych opcji wyboru te same więzi stają się narzędziem ucisku i stagnacji. Jest to precyzyjna odpowiedź zarówno na indywidualizm pozbawiony korzeni, jak i na wspólnotowość, która nie przewiduje wyjścia awaryjnego. Komunitarianin ma oczywiście rację, że każdy z nas potrzebuje bezpiecznego zakorzenienia, by nie oszaleć w świecie płynnej nowoczesności. Dahrendorf dodaje jednak kluczowe zastrzeżenie: potrzebujemy także możliwości zachowania krytycznego dystansu wobec własnego zakorzenienia, by nie stało się ono naszym przeznaczeniem.

Tradycja może być dla nas bezpiecznym domem, ale równie dobrze może stać się zamkiem bez drzwi i okien. Zrównoważony rozwój, rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji, nie powinien burzyć domu tradycji buldożerem modernizacji, ale nie może też pozwolić, by ten dom stał się więzieniem. W praktyce oznacza to, że lokalne więzi, krajobrazy i religijne sensy należy włączać do procesu transformacji, traktując je z należytą powagą, ale bez nabożnej sakralizacji. Jeżeli jakaś ligatura prowadzi do systematycznego wykluczenia, przemocy lub blokuje szanse życiowe przyszłych pokoleń, musi zostać poddana odważnej krytyce. Taka krytyka nie powinna jednak zaczynać się od oświeceniowej pogardy, lecz od pytania, jaką funkcję sensotwórczą pełni dana więź i jak można ją przepisać na nowo. To właśnie jest istotą redeskrypcji: nie niszczymy znaczeń, lecz cierpliwie zmieniamy ich funkcję, by służyły wolności, a nie destrukcji.

Wielogłos krytyki: jak ocalić sens zrównoważonego rozwoju?

Czwarta fala krytyki uderza ze strony libertarian, dla których słownik zrównoważonego rozwoju brzmi jak zapowiedź nowej, subtelnej formy opresji. Widzą oni w tych pojęciach nie tyle ratunek dla planety, ile poręczne narzędzie do bezustannego rozszerzania władzy państwowej, regulacyjnej

kontroli oraz moralnej presji. Państwo, występując w roli rzecznika przyszłych pokoleń, może przecież zacząć arbitralnie decydować o coraz większej części życia jednostki, od jej diety po sposób przemieszczania się. Libertarianin pyta zatem z uzasadnionym sceptycyzmem: kto właściwie nadał instytucjom mandat do definiowania, czym jest odpowiedzialne i godne życie? Istnieje bowiem realna obawa, że pod płaszczem szlachetnych intencji kryje się mechanizm, który zamieni obywatelską solidarność w miękką, lecz nieuchronną formę przymusu. Ten zarzut nie jest bynajmniej absurdalny; wszak historia polityczna wielokrotnie dowodziła, że wielkie cele bywają idealnym paliwem dla ekspansji systemów nadzoru.

Właśnie dlatego każda uczciwa koncepcja zrównoważenia musi być w swej istocie antyautorytarna i głęboko zakorzeniona w szacunku dla ludzkiej autonomii. Zrównoważony rozwój nie może stać się projektem kolektywistycznego tresowania moralnego, który narzuca odgórnie jeden słuszny model egzystencji. Nie powinien on produkować więzi, czyli głębokich relacji i zakorzenienia kulturowego nadającego sens działaniom, które jednocześnie pozbawiają jednostkę jakichkolwiek alternatyw. Państwo ma obowiązek tworzyć warunki dla odpowiedzialności, niemniej nie posiada ono prawa do zawłaszczania przestrzeni prywatnej samokreacji. Musi ono chronić wspólne ramy życia poprzez jawne procedury i kontrolę sądową, unikając przy tym pokusy budowania „zielonych koszar". Rorty'owski sceptycyzm wobec ostatecznych słowników staje się tutaj niezbędnym sojusznikiem wolności, chroniącym nas przed pychą projektantów powszechnego szczęścia.

Libertariańska wizja świata cierpi jednak na pewną istotną ślepotę, gdyż zakłada, że sama wolność formalna jest wystarczającym fundamentem ludzkiej pomyślności. W rzeczywistości naznaczonej drastycznymi nierównościami zasobów wolność pozbawiona realnych opcji wyboru staje się jedynie pustym przywilejem tych, którzy już zgromadzili kapitał. Człowiek dotknięty ubóstwem energetycznym nie odzyskuje podmiotowości tylko dlatego, że państwo powstrzymuje się od jakiejkolwiek interwencji w mechanizmy rynkowe. Mieszkaniec zapomnianych peryferii nie staje się wolny dzięki teoretycznej ofercie rynku, jeśli nie posiada on narzędzi, by z tej oferty realnie skorzystać. Nie wymagaj zmiany bez opcji zmiany – to hasło powinno stać się fundamentem polityki, która rozumie, że wolność wymaga instytucjonalnego wsparcia. Pracownik sektora schyłkowego nie odnajdzie sensu w wolności, która sprowadza się do cynicznej rady o „przekwalifikowaniu się", wyczytanej z prezentacji drogiego konsultanta.

Piąta krytyka, o proweniencji marksistowskiej lub neomarksistowskiej, idzie jeszcze dalej, twierdząc, że nasz język opcji i więzi jest zbyt łagodny wobec drapieżnej natury kapitalizmu. W tej perspektywie zrównoważony rozwój jawi się często jako ideologia służąca jedynie do pudrowania systemowych sprzeczności, a nie do ich faktycznego rozwiązania. Wszystkie te modne pojęcia, jak zielone finanse, neutralność klimatyczna czy gospodarka obiegu zamkniętego, mogą skutecznie

maskować fakt, że system nadal opiera się na bezwzględnej ekstrakcji. Krytycy wzrostu oraz zwolennicy degrowth słusznie wskazują na fundamentalną sprzeczność między ideą zrównoważenia a gospodarką opartą na nieustannej ekspansji produkcji. Istnieje bowiem ryzyko, że zrównoważenie zostanie przechwycone przez tak zwany kapitalizm reputacyjny, stając się jedynie sprawnym narzędziem marketingu. Wówczas obywatel zostaje zredukowany do roli konsumenta ekologicznych gadżetów, a państwo staje się jedynie gwarantem nowych, zielonych rynków zbytu.

Krytyka ta uderza w samo sedno politycznej ekonomii zrównoważenia, wskazując na niebezpieczeństwo powstania maszyny oficjalizacji, czyli ryzyka wykorzystania technologii do wygładzania trudnych narracji społecznych. Zamiast autentycznego dialogu o kosztach transformacji otrzymujemy wówczas piękne raporty, które skrywają pod spodem bardzo brzydkie i niesprawiedliwe łańcuchy dostaw. Zrównoważony rozwój, czyli otwarty proces cywilizowanego uczenia się, a nie gotowy plan, musi zatem zostać zaostrzony o pytania o władzę. Kto właściwie posiada kapitał, aby zdefiniować obowiązujący standard ekologiczny i kto ponosi realny koszt zgodności z tymi nowymi normami? Kto kontroluje kluczowe dane i kto decyduje o kierunkach strategicznych inwestycji, oficjalizując własny interes jako interes powszechny? To są pytania o to, kto ma zasoby, by korzystać z zielonych opcji, a kto zostaje obarczony jedynie nowymi, zielonymi obowiązkami.

Różnica między bronionym tu ujęciem a radykalnym marksizmem polega na tym, że nie redukujemy całej złożoności świata wyłącznie do walki klas i stosunków własności. Uznajemy ich fundamentalne znaczenie, ale dodajemy do debaty język godności, lokalności oraz troski o krajobraz, którego nie da się przeliczyć na dywidendy. Kapitalizm nie jest jedyną strukturą dominacji, niemniej jest jedną z najpotężniejszych, toteż nowy słownik nie może go traktować jak neutralnego partnera z broszury. Postwzrostowcy wnoszą tutaj niezwykle istotne ostrzeżenie, kwestionując empiryczną wiarygodność wiary w to, że globalna gospodarka może rosnąć w nieskończoność. Krytycy koncepcji „zielonego wzrostu” słusznie punktują zjawisko rebound effects, gdzie wzrost efektywności jest natychmiast niwelowany przez zwiększoną skalę materialnego zużycia. Z kolei przeciwnicy degrowth ostrzegają przed polityczną niewykonalnością takiego projektu i ryzykiem pogorszenia sytuacji grup zależnych od wzrostu zatrudnienia.

Spór ten jest zbyt głęboki, by można go było rozstrzygnąć za pomocą prostego sloganu, dlatego właśnie potrzebna jest redeskrypcja, czyli proces tworzenia nowych słowników działania. Neopragmatyczna odpowiedź nie powinna opowiadać się po żadnej ze stron tej barykady, lecz raczej proponować słownik precyzyjnego różnicowania potrzeb. Musimy pytać, jakie formy wzrostu realnie zwiększają szanse życiowe bez niszczenia ekosystemów, a jakie są jedynie akumulacją kosztów odłożonych w czasie. Gdzie potrzebujemy pilnego wzrostu dostępu do usług publicznych,

zdrowia i energii, a gdzie niezbędna jest radykalna redukcja marnotrawstwa i luksusowej emisji? Pytajmy odważnie, kto może sobie pozwolić na posiadanie „mniej", a kto nadal nie posiada wystarczająco dużo, by móc żyć w sposób godny. Jedno słowo „wzrost" jest zbyt ubogie, by unieść ciężar tej debaty, podobnie jak jedno słowo „degrowth" nie wystarczy do opisu przyszłości.

Szósta krytyka, płynąca ze strony zwolenników silnej racjonalności deliberacyjnej, uderza w same filozoficzne fundamenty neopragmatyzmu, oskarżając go o niebezpieczny relatywizm. Habermas i jego zwolennicy obawiają się, że porzucenie mocnych pojęć prawdy i uniwersalnych roszczeń ważności zamieni debatę publiczną w czysty konkurs retoryczny. Antyfundacjonalizm, czyli przekonanie, że normy rozmowy pochodzą z ludzkich praktyk, a nie z pozaludzkiego fundamentu, pozwala wprawdzie na elastyczność, ale budzi lęk o trwałość kryteriów. Bez wspólnych norm racjonalnej komunikacji zostaniemy z pluralizmem słowników, które będą ze sobą konkurować jedynie sprawnością perswazyjną, a nie siłą argumentów. Istnieje bowiem realne zagrożenie, że w takim układzie wygra po prostu ten słownik, który jest lepiej finansowany lub bardziej atrakcyjny medialnie. Zrównoważony rozwój nie może stać się jedynie konkursem narracji, w którym sprawiedliwość ustępuje miejsca najskuteczniejszej i najdroższej metaforze.

To bardzo poważna uwaga, na którą musimy odpowiedzieć poprzez dowartościowanie sprawiedliwości proceduralnej, zapewniającej uczestnikom procesu poczucie realnego wpływu na rzeczywistość. Konflikt poznawczy, czyli spór traktowany jako sygnał o błędach instytucjonalnych, nie powinien być tłumiony, lecz wykorzystywany do korygowania zbyt technokratycznych procedur. Społeczeństwo otwarte nie jest rajem zgody. Jest ustrojem korekty, w którym błędy są publicznie wytykane i naprawiane dzięki czujności obywateli. Silne są nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają swojego języka, lecz te, które potrafią go modyfikować bez utraty poczucia odpowiedzialności. Naszym zadaniem pozostaje zatem remont arki na wzburzonym morzu, wymagający od nas zarówno intelektualnej pokory, jak i odwagi w tworzeniu nowych form współistnienia. Przy czym musimy pamiętać, że każda metafora, nawet ta najpiękniejsza, musi ostatecznie zdać egzamin przed trybunałem ludzkiego cierpienia i planetarnych granic.

Między empatią a procedurą: jak decydować w świecie niepewności

Każda racjonalna debata, aby nie stać się jałowym sporem, potrzebuje twardych danych, jasnych kryteriów oraz przejrzystych procedur. W tym kontekście Richard Rorty bywa często oskarżany o relatywizm, lecz jego antyfundacjonalizm, czyli przekonanie, że normy rozmowy wyrastają z ludzkich praktyk, a nie z metafizycznych fundamentów, stanowi solidną obronę wartości

demokratycznych. Nie musimy odkrywać kosmicznej esencji uczciwości czy jawności, aby uznać je za fundamenty naszego współistnienia w ramach społeczeństwa otwartego. Bronimy tych zasad, ponieważ bez nich każda wymiana myśli nieuchronnie degeneruje się w stronę przemocy lub wyrafinowanej manipulacji. To uzasadnienie ma charakter czysto pragmatyczny, zakorzeniony w bolesnym doświadczeniu skutków braku dialogu, co czyni je paradoksalnie silniejszym od abstrakcyjnych dogmatów.

W tym miejscu Habermas i Rorty przestają być rywalami, a zaczynają się wzajemnie uzupełniać w fascynujący sposób. Podczas gdy Habermas nieustannie przypomina nam, że każda sensowna debata publiczna wymaga rygorystycznych norm racjonalności, Rorty wnosi niezbędną dawkę sceptycyzmu. Ostrzega on, że same te normy mogą stać się narzędziem wykluczenia, jeśli zignorujemy przygodność naszych słowników oraz realne doświadczenie upokorzenia. W polityce zrównoważonego rozwoju, rozumianej jako proces cywilizowanego uczenia się, potrzebujemy obu tych ostrzeżeń jednocześnie. Musimy trzymać się procedur, by nie utonąć w chaosie sprzecznych narracji, zachowując jednocześnie ironię, która chroni nas przed zamianą dialogu w technokratyczny rytuał.

Deliberacja pozbawiona neopragmatycznej ironii ryzykuje popadnięcie w pychę czystej racjonalności, podczas gdy neopragmatyzm bez norm grozi osunięciem się w miękką retorykę. Razem tworzą one jednak model społeczeństwa otwartego, który jest znacznie bardziej odporny na wstrząsy i kryzysy tożsamościowe. Siódma krytyka, z którą musimy się zmierzyć, uderza bezpośrednio w samo pojęcie współczucia jako fundamentu działań publicznych. Krytycy słusznie zauważają, że współczucie bywa kategorią zbyt prywatną, emocjonalną i skrajnie podatną na niebezpieczną selektywność. Ludzie naturalnie współczują tym, których widzą blisko siebie, często ignorując cierpienie odległe, niewidzialne lub kulturowo obce.

W sferze polityki publicznej niekontrolowane współczucie może prowadzić do niespójności działań, taniego sentymentalizmu lub dominacji tych problemów, które są najbardziej medialne. Czy zatem zrównoważony rozwój może realnie opierać się na empatii, skoro wymaga on twardych instytucji, prawa i często bolesnych decyzji? Odpowiedź jest złożona: nie może on bazować wyłącznie na emocjach, ale bez nich staje się całkowicie ślepy na ludzki wymiar transformacji. Współczucie w tym ujęciu nie zastępuje analizy ekonomicznej, lecz jest zdolnością rozpoznawania świata drugiego człowieka. Pozwala ono dostrzec lęk, stratę i niewidzialność, których żaden suchy wskaźnik statystyczny nie jest w stanie poprawnie uchwycić.

Takie rozpoznania muszą zostać następnie precyzyjnie przełożone na język procedur, praw oraz konkretnych instrumentów ekonomicznych i instytucjonalnych. Współczucie stanowi zatem początek procesu poszerzania pola widzenia, a nie ostateczny punkt kończący trudny proces

podejmowania decyzji. Podczas gdy sentymentalizm naiwnie twierdzi, że samo cierpienie rozstrzyga każdy spór, współczucie proceduralne nakazuje uwzględnić to cierpienie w ramach uczciwych reguł. To subtelna, ale fundamentalna różnica między chwilową emocją a instytucjonalną dojrzałością, której tak bardzo potrzebujemy w dobie globalnych kryzysów. Ósma krytyka dotyczy natomiast ryzyka, że otwarty proces uczenia się stanie się alibi dla wiecznego odwlekania koniecznych działań.

Przeciwnik zmian powie, że redeskrypcja, czyli praktyka tworzenia nowych słowników działania, brzmi pięknie, ale w praktyce prowadzi do paraliżu decyzyjnego. Istnieje realne ryzyko, że społeczeństwa będą debatować tak długo, aż okno możliwości dla skutecznej interwencji klimatycznej zamknie się bezpowrotnie. Proces może rzeczywiście stać się wygodną ucieczką przed odpowiedzialnością, gdzie konsultacje i ewaluacje zastępują realne, odważne działanie w terenie. Jednak właściwą odpowiedzią na to zagrożenie nie jest porzucenie demokratycznego procesu, lecz jego mądre i stanowcze zdyscyplinowanie. Otwartość nie oznacza przecież braku terminów czy kompetencji, lecz gwarantuje, że decyzje są poprzedzone uczciwym rozpoznaniem sytuacji.

W tym kontekście kluczowy staje się fallibilizm, który nie zakazuje podejmowania decyzji, lecz nakazuje decydować tak, aby błąd można było naprawić. W świecie skrajnie złożonym taka postawa nie jest przejawem słabości, lecz stanowi podstawową zasadę bezpieczeństwa systemowego. Współczesne raporty o realizacji celów zrównoważonego rozwoju pokazują wyraźnie, że świat nie znajduje się obecnie na dobrej ścieżce. Raport ONZ z 2025 roku, będący oficjalnym narzędziem monitorowania Agendy 2030, wskazuje na palącą konieczność opierania rekomendacji na najnowszych danych. Tylko łącząc rygor dowodowy z humanistyczną wrażliwością, możemy mieć nadzieję na skuteczne przeprowadzenie transformacji w naszym wspólnym, zamieszkanym domu.

Poza pułapki technokracji: neopragmatyzm w epoce kryzysów

Z faktu, że dotychczasowe debaty ugrzęzły w martwym punkcie, wcale nie wynika, iż powinniśmy rozmawiać mniej lub ciszej. Wręcz przeciwnie, musimy nauczyć się rozmawiać lepiej, a przede wszystkim zacząć działać z rzadko spotykaną dziś uczciwością intelektualną. Brak wymiernego postępu w kwestiach klimatycznych nie stanowi bynajmniej argumentu za autorytarnym skrótem, który obiecuje skuteczność kosztem wolności. Jest to raczej bolesny sygnał, że nasz dotychczasowy słownik oraz skostniałe instytucje przestały wytwarzać wystarczającą sprawczość, czyli realną zdolność do przekształcania rzeczywistości. Wszystkie rzetelne krytyki obecnego stanu rzeczy prowadzą nas bowiem do wspólnej, choć trudnej konkluzji. Bronione tutaj ujęcie zrównoważonego

rozwoju musi być znacznie mocniejsze i bardziej rygorystyczne niż jego dotychczasowa, rozmyta wersja miękka.

W dobie narastających kryzysów nie wystarczy już rzucać okrągłymi hasłami o empatii, szacunku dla lokalności czy tworzeniu nowych, porywających metafor. Takie sformułowania, choć pięknie prezentują się na aktywistycznych plakatach, okazują się zbyt kruche, by udźwignąć ciężar epoki antropocenu. Musimy zacząć mówić precyzyjniej: rozmawiajmy w ramach konkretnych procedur, które mają realną moc zmieniania wiążących decyzji politycznych i gospodarczych. Bądźmy empatyczni w sposób, który daje się bezpośrednio przełożyć na konkretne instrumenty sprawiedliwości naprawczej. Szanujmy lokalność, lecz miejmy odwagę poddawać ją krytyce, gdy tylko zaczyna ona drastycznie ograniczać opcje życiowe innych ludzi. Twórzmy metafory, ale jednocześnie bezlitośnie testujmy ich społeczne i ekologiczne skutki w świecie rzeczywistym.

Poszerzajmy dostępne opcje działania, lecz zawsze pytajmy o to, w czyich rękach spoczywa kapitał oraz realna władza wykonawcza. Chrońmy ligatury, czyli te głębokie więzi i zakorzenienie kulturowe nadające sens ludzkiemu życiu, ale zawsze zostawiajmy jednostce bezpieczną drogę wyjścia. Używajmy danych z pokorą, dbając, by nie zamienić ich w cyfrowe bożki, przed którymi musi klękać każda humanistyczna refleksja. Budujmy solidarność międzyludzką, lecz pilnujmy, by nie stała się ona wygodnym usprawiedliwieniem dla dusznego, ograniczającego podmiotowość paternalizmu. Najważniejsze jest bowiem zrozumienie, że neopragmatyczna redeskrypcja, czyli proces tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie, nie ma nic wspólnego z tanim relatywizmem.

Relatywizm w swoim naiwnym wydaniu sugerowałby zapewne, że każdy słownik opisu świata jest tak samo dobry i uprawniony. Nasze ujęcie mówi coś dokładnie odwrotnego: słowniki i narracje trzeba oceniać wyłącznie po ich praktycznych skutkach dla wspólnoty. Pytajmy zatem, czy dany język zwiększa szanse życiowe najsłabszych, czy skutecznie ogranicza systemowe upokorzenie i czy ujawnia realne konflikty interesów. Sprawdzajmy, czy umożliwia on szybką korektę błędów oraz czy realnie poszerza zakres naszego solidarnego, inkluzywnego „my". Są to kryteria niezwykle wymagające, które, choć nie są metafizycznie absolutne, okazują się w praktyce twarde jak granit.

Każda instytucja, która w imię wyższych celów systematycznie upokarza swoich obywateli, z definicji przegrywa ten neopragmatyczny test dojrzałości. Polityka, która nakłada na ludzi nowe obowiązki, nie oferując im jednocześnie żadnych realnych opcji wyboru, jest po prostu polityką nieskuteczną. Zasadnicza reguła brzmi bowiem: nie wymagaj zmiany bez opcji zmiany, gdyż w przeciwnym razie generujesz jedynie opór i poczucie krzywdy. Firma raportująca społeczną odpowiedzialność, a jednocześnie przerzucająca koszty transformacji na barki najsłabszych, dopuszcza się cynicznego oszustwa. Edukacja, która zamiast uczyć konfliktu, woli jałowo

moralizować, staje się jedynie narzędziem bezużytecznej indoktrynacji. Nawet sztuczna inteligencja, jeśli wzmacnia dominujący słownik i udaje przy tym neutralność, staje się częścią maszyny oficjalizacji, czyli ryzyka wygładzania trudnych narracji.

Neopragmatyzm nie jest bynajmniej miękką kapitulacją wobec lokalnych oporów czy lęku przed nieuchronną zmianą cywilizacyjną. Nie twierdzi on wcale, że skoro ktoś czuje stratę, to nie wolno nam zmieniać absolutnie niczego w obecnym układzie. Mówi raczej: jeśli zmiana jest konieczna dla przetrwania, nie dodawaj do niej niepotrzebnego, zbędnego upokorzenia epistemicznego. Nie każda ligatura jest święta, lecz zanim ją brutalnie zerwiesz, spróbuj zrozumieć, jaki sens podtrzymywała i co dasz w zamian. Dane nie są tylko narracją, są konieczne, ale ich społeczne użycie wymaga języka sprawiedliwości, a nie tylko technokratycznego wykresu.

Konflikt poznawczy, traktowany jako spór o błędy instytucjonalne, jest nieuchronny i może stać się cennym źródłem wiedzy, o ile posiada jasne procedury. Jest to doktryna znacznie trudniejsza niż technokratyczny dekret i bez porównania dojrzalsza niż naiwny, romantyczny sprzeciw wobec nowoczesności. Można to ująć za pomocą znanej aluzji do Odyseusza, który musiał zmierzyć się z wabiącym głosem mitycznych syren. W obecnej debacie o zrównoważonym rozwoju słyszymy bowiem kilka takich uwodzicielskich, lecz potencjalnie zgubnych pieśni, które mącą nam w głowach. Technokracja śpiewa o oddaniu steru ekspertom, obiecując szybkość, podczas gdy utopia ekologiczna żąda całkowitego podporządkowania życia wielkiemu, czystemu dobru.

Rynek kusi nas obietnicą, że kupowanie lepszych opcji wystarczy do ocalenia planety, a wspólnota każe trzymać się dawnych więzi dla bezpieczeństwa. Nawet rewolucja śpiewa o obaleniu systemu, wierząc, że na gruzach starego świata natychmiast wyrośnie idealna sprawiedliwość społeczna. Każda z tych melodii zawiera w sobie fragment prawdy, lecz każda może rozbić nasz statek, jeśli uzna się ją za jedyną słuszną. Neopragmatyczna redeskrypcja nie polega jednak na zatykaniu uszu woskiem, lecz na przywiązaniu się do masztu fallibilizmu, czyli świadomości własnej omylności. Każe nam ona słuchać wszystkich głosów, ale nie pozwala bezmyślnie skakać do wody za pierwszym pięknym, lecz pustym dźwiękiem.

Broniona tutaj koncepcja jest w pełni zgodna z duchem społeczeństwa otwartego, które nie jest rajem powszechnej zgody, lecz ustrojem nieustannej korekty. Nie szuka ona ostatecznej, metafizycznej harmonii ani nie obiecuje nam naiwnego końca wszelkich konfliktów interesów w przyszłości. Nie udaje też, że da się zbudować jedną, totalną teorię łączącą samokreację, solidarność, naturę, gospodarkę, prawo i technologię. Proponuje coś znacznie skromniejszego, a przez to bardziej odpowiedzialnego: procedurę nieustannej redeskrypcji, w której oceniamy słowniki przez ich użyteczność. To nie jest słabość, lecz jedyny rozsądny rodzaj siły, jaką możemy dysponować w naszym nieprzewidywalnym, przygodnym świecie.

Silne są nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają swojego języka, lecz te, które potrafią go zmieniać bez utraty odpowiedzialności. Silne są nie te społeczeństwa, które nie znają konfliktów, lecz te, które potrafią z owych sporów wydobywać nową, cenną wiedzę. Silne są nie te polityki, które narzucają wszystkim jeden cel, lecz te, które tworzą realne szanse życia w warunkach ograniczeń. Prawdziwie silna jest nie ta solidarność, która żąda od nas identyczności, lecz ta, która poszerza „my" bez miażdżenia indywidualnego „ja". Najkrótsza odpowiedź udzielona krytykom brzmi zatem następująco: każdy z was ma rację w diagnozie, lecz myli się w proponowanej metodzie.

Technokrata słusznie zauważa potrzebę sprawnego działania, lecz fatalnie myli owo działanie z jednostronnym, eksperckim rozkazem wydawanym z góry. Radykalny ekolog ma rację, że przyroda nie jest tylko zasobem do dekoracji, ale myli metafizyczną intensywność z instytucjonalną wykonalnością zmian. Komunitarianin trafnie diagnozuje, że więzi są nam niezbędne do życia, lecz musi wreszcie zaakceptować prawo jednostki do wyjścia z grupy. Libertarianin słusznie ostrzega przed przymusem dobrych intencji, ale powinien dostrzec fikcyjność wolności tam, gdzie brakuje realnych opcji wyboru. Nawet marksista ma rację, że kapitał chętnie przechwytuje nasze słowniki, lecz nie może redukować całej godności życia do kwestii własności.

Habermasowiec słusznie twierdzi, że rozmowa potrzebuje norm, lecz musi pamiętać, iż same normy również mogą stać się narzędziem systemowego upokorzenia. Postwzrostowiec ma rację co do granic planetarnych, ale musi odróżnić redukcję presji materialnej od drastycznej redukcji szans życiowych najuboższych. Tak oczyszczona koncepcja zrównoważonego rozwoju jest intelektualnie znacznie twardsza niż jej technokratyczna czy moralizatorska konkurencja, ponieważ nie ukrywa ona konfliktów. Nie obiecuje nam kojącej prostoty ani nie udaje, że jakikolwiek wskaźnik statystyczny może kiedykolwiek w pełni zastąpić żywe, ludzkie doświadczenie. Nie pozwala używać natury jako młotka na obywatela ani wolności jako wygodnej wymówki dla zwykłego, egoistycznego cynizmu.

Zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji nie może być narzędziem dyscypliny ani immunitetem dla błędów przeszłości. Mówi on nam brutalnie: pokaż swoje opcje, pokaż ligatury, pokaż procedurę, pokaż realny konflikt, pokaż koszty i wskaż, kto został upokorzony. Musimy wyrwać tę ideę z dwóch pułapek: technokratycznej wiary w algorytmy oraz moralizatorskiego przekonania, że wystarczy ludzi zawstydzić, by zaczęli działać. Obie te drogi są niezwykle atrakcyjne, ponieważ w sposób sztuczny upraszczają naszą i tak już skomplikowaną, wielowarstwową rzeczywistość społeczną. Są one jednak szkodliwe, gdyż całkowicie pomijają człowieka jako istotę żyjącą jednocześnie w sferze materii, świadomości oraz kultury.

Zrównoważony rozwój jako walka o lepszy słownik przyszłości

Zrównoważony rozwój, wbrew powszechnym wyobrażeniom, nie jest statycznym celem ani ostatecznym końcem historii, lecz otwartym procesem cywilizowanego uczenia się. Proponowana tu koncepcja rekonstruuje go jako praktykę redeskrypcji, czyli proces tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie. Nie szukamy zatem planu idealnego społeczeństwa, lecz metody na poszerzanie wspólnego „my" w świecie pełnym różnic, konfliktów i materialnych granic. To przesunięcie perspektywy jest zasadnicze, gdyż pozwala uniknąć pułapki technokratycznego przymusu, który często towarzyszy wielkim projektom naprawy świata. Zamiast gotowego stanu otrzymujemy narzędzie do ciągłej korekty naszych zbiorowych działań, co czyni transformację bardziej ludzką. Zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji pozwala bowiem na poszerzanie wspólnoty w warunkach nieuchronnego konfliktu interesów.

W klasycznym ujęciu zrównoważony rozwój bywa sprowadzany do mechanicznej równowagi między gospodarką a środowiskiem, co czyni go jedynie katalogiem globalnych celów. W dyskursie korporacyjnym staje się on systemem raportowania ryzyk, zaś w edukacyjnym – listą pożądanych, lecz często pustych postaw. Tymczasem w ujęciu neopragmatycznym musimy powiedzieć to znacznie mocniej: zrównoważony rozwój jest przede wszystkim walką o lepszy słownik przyszłości. Potrzebujemy języka, który nie będzie ani lustrem natury, ani maską władzy, ani marketingową tapetą dla bezdusznych instytucji. Unikajmy maszyny oficjalizacji, czyli ryzyka wykorzystania technologii do wygładzania trudnych, wielogłosowych narracji społecznych i zamiany ich w administracyjną papkę. Chodzi o słownik będący realnym narzędziem zwiększania szans życiowych, a nie kolejnym katechizmem „dobrego obywatela".

Richard Rorty uczył nas, że język nie jest lustrem natury, co niesie ze sobą ogromną moc wyzwalającą, o ile nie zostanie opacznie zrozumiane. Nie oznacza to bynajmniej, że fakty są dowolne, lecz że nie przychodzą one do nas w gotowym opakowaniu normatywnym. Antyfundacjonalizm, czyli przekonanie, że normy rozmowy pochodzą z ludzkich praktyk, a nie z pozaludzkiego fundamentu, uzasadnia jawność jako warunek funkcjonowania społeczeństwa. Zmiana klimatu czy degradacja środowiska są bolesną rzeczywistością, niemniej natura sama nie rozstrzyga, jak rozdzielać koszty transformacji. Pytania o godność, wolność i odpowiedzialność należą do sfery ludzkiej deliberacji, a nie do praw fizyki czy biologii. Tu właśnie zaczyna się polityka słownika, która decyduje o tym, jak opiszemy nasze wspólne wyzwania.

Największym błędem współczesności byłoby uczynienie z nauki nowej instancji moralnego przymusu, która zamiast rozjaśniać świat, zaczęłaby upokarzać jego mieszkańców. Nauka dostarcza

nam niezbędnej wiedzy o świecie materialnym, wszak nie może ona zastąpić demokratycznej rozmowy o wartościach i sensie życia. Gdy ekspert mówi: „takie są dane", wnosi do debaty fundament, na którym musimy budować nasze dalsze kroki. Jednak w momencie, gdy dodaje: „wasz sprzeciw jest nieracjonalny", często przekracza granice własnej kompetencji i wchodzi w rolę sędziego. Dane nie unieważniają przecież ludzkich biografii, a modele matematyczne nie są w stanie anulować egzystencjalnego lęku przed nieznanym. Największa naukowa powaga polega czasem na tym, by wiedzieć, czego nauka sama z siebie nie rozstrzyga.

Ralf Dahrendorf dodaje do tej lekcji socjologiczną precyzję, wskazując, że szanse życiowe są w istocie gramatyką wolności w każdym społeczeństwie. Nie wystarczy przecież dać ludziom formalnych praw, jeśli nie posiadają oni realnych opcji działania w swoim codziennym życiu. Z drugiej strony, same opcje bez ligatur, czyli głębokich więzi i zakorzenienia kulturowego, stają się puste i pozbawione głębszego sensu. Ligatury bez opcji są z kolei formą ucisku, która dusi jednostkę w imię tradycji lub narzuconego porządku administracyjnego. W tym jednym rozróżnieniu mieści się potężna siła krytyczna, pozwalająca obnażyć zarówno fałszywy liberalizm rynku, jak i opresyjny solidaryzm opieki. Prawdziwy rozwój musi zatem dbać o obie te sfery jednocześnie, nie poświęcając wolności na ołtarzu bezpieczeństwa.

Zrównoważony rozwój, widziany przez pryzmat szans życiowych, przestaje pytać wyłącznie o to, czy wskaźniki i cele zostały formalnie osiągnięte. Zaczyna pytać o to, kto zyskał nowe możliwości, a kto stracił swoje stare zakorzenienie w wyniku narzuconych odgórnie zmian. Interesuje nas, czyje partykularne interesy przebrano za dobro wspólne oraz czy procedury dały ludziom realny głos w sprawach ich dotyczących. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zapewnienie uczestnikom procesu poczucia realnego wpływu i podmiotowości, staje się tu kluczowym warunkiem akceptacji transformacji. Bez tych trudnych pytań zrównoważony rozwój staje się jedynie eleganckim językiem dobrych intencji, który nie potrafi odróżnić emancypacji od przymusu. Tylko wtedy ludzie mogą przekształcić własne życie bez poczucia bolesnej degradacji i utraty godności.

Karl Popper chroni nas przed niebezpieczną redukcją, proponując koncepcję trzech światów, które pozwalają dostrzec wielowymiarowość każdej społecznej transformacji. Świat pierwszy to materia, która stawia opór; świat drugi to nasze wewnętrzne przeżycia; świat trzeci to kultura, normy i instytucje. Gdy którykolwiek z tych światów zaczyna dominować nad pozostałymi, nieuchronnie dochodzi do groźnych patologii społecznych i politycznych. Dominacja materii prowadzi do naturalistycznego przymusu, podczas gdy prymat świata drugiego kończy się sentymentalnym partykularyzmem, paraliżującym wszelką zmianę. Z kolei dominacja świata trzeciego owocuje biurokratyczną metafizyką, gdzie poprawność dokumentu i wskaźnika staje się ważniejsza od żywej

rzeczywistości społecznej. Dojrzała polityka musi zatem dbać o to, by te trzy sfery pozostawały w ciągłym dialogu.

Krajobraz staje się tu idealną metaforą i zarazem namacalną rzeczywistością, ponieważ nie jest on tylko pustą przestrzenią, lecz miejscem splotu materii i pamięci. Dla hydrologa rzeka jest przepływem, dla mieszkańca fragmentem dzieciństwa, a dla inwestora jedynie potencjałem ekonomicznym do wykorzystania. Każdy, kto twierdzi, że tylko jeden z tych opisów jest „realny", kaleczy świat i zamyka drogę do autentycznego porozumienia. Konflikt poznawczy, czyli spór traktowany jako sygnał o błędach instytucjonalnych lub braku zaufania, nie powinien być tłumiony, lecz włączony w proces triangulacji. Sztuka triangulacji polega na łączeniu tych perspektyw w taki sposób, by żadna z nich nie została brutalnie wykluczona z procesu decyzyjnego. To właśnie w krajobrazie najlepiej widać, jak nasze opisy świata wpływają na jego fizyczny kształt.

Redeskrypcja staje się zatem podstawową techniką społeczeństwa otwartego, które potrafi zmieniać swój język bez utraty poczucia odpowiedzialności za wspólnotę. Nie chodzi tu o manipulowanie słowami, lecz o twórcze przekształcanie słowników, które w obliczu kryzysu przestały po prostu działać. Stary słownik rozwoju, oparty na nieustannym wzroście produkcji, musi zostać zastąpiony językiem realnych opcji życia i sprawiedliwych procedur. Nowy słownik powinien kłaść nacisk na zdolność uczenia się, unikając przy tym utopijnej przemocy i pustych, marketingowych haseł. Nie wymieniajmy starego języka siłą, lecz poddajmy go recyklingowi przez lepszą metaforę, bo transformacja w zamieszkanym domu wymaga mądrości. Silne są nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają języka, lecz te, które potrafią go odświeżyć bez utraty odpowiedzialności.

Między wolnością a wspólnotą: nowa definicja solidarności

Rewolucyjna pycha ma to do siebie, że chętnie puszcza z dymem stare pojęcia, widząc w nich jedynie skansenowskie przeszkody na drodze do nowego świata. Tymczasem te pojęcia to często domy sensu, które zamiast burzyć, warto poddać renowacji lub otworzyć na zupełnie nowe światło. Rozwój wcale nie musi oznaczać materialnej ekspansji bez granic, lecz może stać się pomnażaniem szans życiowych w ramach planetarnych ograniczeń. Podobnie postęp nie musi być synonimem pogardy dla przeszłości, lecz zdolnością do przekształcania odziedziczonych ligatur, czyli głębokich więzi nadających sens ludzkim działaniom, w świadome i refleksyjne relacje. Odpowiedzialność z kolei przestaje być formą moralnego nadzoru, a staje się współautorstwem skutków, w którym każdy z nas ma swój udział. Solidarność natomiast nie musi oznaczać podporządkowania jednostki wspólnocie, lecz rozszerzanie sfery „my" bez jednoczesnego miażdżenia autonomicznego „ja". Tak

rozumiana solidarność staje się fundamentem końcowej syntezy, ponieważ nie jest ona tresurą moralną ani językiem, w którym silniejsi dyktują słabszym instrukcję obsługi życia.

Prawdziwa solidarność zaczyna się od uznania, że inni ludzie posiadają własne słowniki cierpienia, dumy i nadziei, których nie musimy przyjmować bezkrytycznie, ale musimy traktować jako coś więcej niż szum utrudniający wdrożenie strategii. Bez tego uznania każda wspólnotowość jest jedynie paternalizmem z nieco ładniejszym uśmiechem. W tym punkcie musimy powrócić do kwestii indywidualnej samorealizacji, która w dobie kryzysu nie może zostać wchłonięta przez wielką, zbiorową misję. Człowiek nie jest przecież instrumentem przyszłości ani bezosobowym nośnikiem emisji, jednostką konsumpcji czy profilem behawioralnym w systemie decyzyjnym. Jest on przede wszystkim podmiotem, który tworzy własny sens życia, a to prawo do samokreacji stanowi rdzeń nowoczesnej wolności, a nie jej zbędny luksus. Niemniej jednak samorealizacja nie jest wartością absolutną, ponieważ prywatna droga każdego z nas nieuchronnie przebiega przez wspólny świat. Wolność nie oznacza prawa do ignorowania warunków, które umożliwiają wolność pozostałym uczestnikom wspólnoty.

Dlatego musimy odrzucić zarówno kolektywizm solidarności bez wolności, jak i indywidualizm wolności bez solidarności. Pierwszy z tych modeli buduje bowiem zielone koszary, drugi zaś sankcjonuje ekologiczny egoizm klas uprzywilejowanych. Nowy słownik mówi trudniej: bądź sobą, ale pamiętaj, że bycie sobą jest możliwe tylko w świecie, który nie został zniszczony przez cudzą i własną ślepotę. Najlepszą figurą tej kruchej równowagi pozostaje liberalny ironista, czyli ktoś, kto potrafi żyć bez metafizycznej pychy, ale nie bez zobowiązań. Taka osoba wie, że jej słownik jest przygodny, ale nie uznaje przez to realnego cierpienia za zjawisko błahe. Rozumie, że nie posiada ostatecznego uzasadnienia dla własnych wartości, ale nie potrzebuje go, aby z całą mocą sprzeciwiać się okrucieństwu. W epoce zrównoważonego rozwoju, rozumianego jako otwarty proces cywilizowanego uczenia się, liberalny ironista deklaruje: moje cele są poważne, ale mój język musi pozostać korygowalny.

Chętnie chronię klimat, ale nie zamierzam upokarzać ludzi w imię tej ochrony ani czynić ze sprawiedliwości nowej teologii przymusu. Chcę przyszłości, ale odmawiam traktowania teraźniejszych ludzi jak materiału przejściowego w procesie dziejowym. Taka postawa jest szczególnie potrzebna instytucjom, które lubią wskaźniki i procedury, bo te dają złudne poczucie kontroli. Tutaj pojawia się potrzeba redeskrypcji, czyli praktyki tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie. Pozwala ona na zmianę postaw bez wywoływania poczucia utraty tożsamości. Społeczeństwo otwarte nie jest rajem zgody. Jest ustrojem korekty, w którym konflikt poznawczy – spór traktowany jako sygnał o błędach – pozwala naprawiać system. Zamiast uruchamiać maszynę oficjalizacji, która zamienia wielogłosowość w

administracyjną papkę, należy dbać o sprawiedliwość proceduralną, czyli zapewnienie uczestnikom procesu poczucia realnego wpływu. Silne są nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają języka, lecz te, które potrafią zmieniać język bez utraty odpowiedzialności. Transformacja w zamieszkanym domu wymaga bowiem precyzji i empatii, by w imię ratowania planety nie zgubić ludzkiej podmiotowości.

Instytucjonalna pokora: jak naprawiać świat bez arogancji

Wszystkie te mechanizmy są bez wątpienia potrzebne, niemniej mogą stać się śmiertelnie niebezpieczne, jeśli instytucja utraci zdolność odczuwania wstydu wobec własnej, biurokratycznej pychy. Instytucja prawdziwie dojrzała powinna posiadać odwagę, by otwarcie przyznać, iż dany wskaźnik statystyczny pozostaje ślepy na autentyczne, ludzkie cierpienie. Musi umieć wskazać procedury, które choć formalnie legalne, zostały w praktyce nieuczciwie przeżyte przez tych, których miały rzekomo wspierać. Strategie operujące pięknym, inkluzywnym językiem często w rzeczywistości tworzą szerokie opcje dla wybranych, podczas gdy dla reszty stają się jedynie krępującymi ligaturami. Ligatury te, czyli głębokie więzi i zakorzenienie kulturowe nadające sens ludzkim działaniom, nie powinny być nigdy redukowane do roli administracyjnych ograniczeń. Projekt techniczny może być matematycznie poprawny, a jednocześnie głęboko upokarzający na poziomie społecznym i godnościowym.

Często zdarza się, że konsultacje społeczne zamieniają się w czysty teatr pozorów, a kampanie informacyjne przyjmują infantylizujący ton wobec obywateli. Algorytmy, zamiast poszerzać pole rozmowy, nierzadko wzmacniają jedynie dominujący słownik, wykluczając głosy niepasujące do narzuconego z góry, technokratycznego schematu. Przyznanie się do takich błędów nie stanowi bynajmniej dowodu słabości organizacyjnej, lecz jest przejawem najwyższej inteligencji instytucjonalnej. Instytucja, która nie potrafi uznać własnej omylności, nie jest wcale silna, lecz tragicznie krucha, choć zazwyczaj jeszcze o tym nie wie. Fallibilizm Poppera, czyli przekonanie o nieuchronnej omylności ludzkiego poznania, jawi się tutaj jako niezbędny warunek budowania prawdziwej odporności systemowej. Społeczeństwo otwarte nie jest wszak rajem wolnym od błędów, lecz wspólnotą tworzącą mechanizmy ich wykrywania bez konieczności obalania całego porządku.

W obszarze zrównoważonego rozwoju ta zasada jest szczególnie istotna, gdyż działamy w warunkach głębokiej, niemal ontologicznej niepewności co do skutków naszych działań. Nowe technologie nieuchronnie będą generować nieprzewidziane skutki uboczne, a regulacje prawne

będą wymagały ciągłych, często bolesnych korekt i uzupełnień. Metafory, których używamy do opisu świata, z czasem nieuchronnie się zużyją, a konflikty interesów ujawnią koszty, których wcześniej nikt nie przewidział. Dlatego właśnie nie potrzebujemy polityki nieomylnej, lecz takiej, która nie myli koniecznej korekty kursu z ostateczną porażką idei. Agenda 2030 oraz Cele Zrównoważonego Rozwoju (SDG) powinny zostać umieszczone właśnie w takim, otwartym i krytycznym horyzoncie myślowym. Ich odrzucenie byłoby gestem zbyt łatwym i intelektualnie jałowym, niemniej konieczna jest radykalna zmiana ich dotychczasowego statusu.

SDG nie powinny być traktowane jako świecki dekalog przyszłości, lecz raczej jako roboczy słownik globalnej koordynacji działań w skali planetarnej. Ich prawdziwa wartość polega na unikalnej zdolności mobilizowania uwagi świata, a nie na pretensji do ostatecznego definiowania kształtu dobrego społeczeństwa. Warto zatem przepuścić je przez filtr dwunastu kryteriów nowego słownika, aby sprawdzić, czy rzeczywiście służą one emancypacji, czy jedynie kontroli. Należy zapytać, czy odchodzą one od naiwnego reprezentacjonizmu, czyli przekonania, że język jest jedynie lustrem rzeczywistości, a nie narzędziem jej aktywnego kształtowania. Czy potrafią one triangulować światy, łącząc perspektywę naukową z lokalnym doświadczeniem i emocjonalnym zaangażowaniem mieszkańców konkretnych krajobrazów? Czy uczą konstruktywnej krytyki, czy może wymuszają jedynie bezrefleksyjną akceptację narzuconych z góry, centralnych wskaźników i celów?

Kluczowe jest również pytanie, czy proponowane rozwiązania unikają upokorzenia epistemicznego, które polega na unieważnianiu wiedzy lokalnej na rzecz abstrakcyjnych modeli matematycznych. Czy tworzą one dobre, nośne metafory, które pozwalają ludziom zrozumieć sens zachodzących zmian, zamiast budzić w nich lęk i poczucie wyobcowania? Czy są one praktycznie użyteczne dla zwykłego człowieka, czy stanowią jedynie paliwo dla rozbudowanych systemów raportowania i certyfikacji? Czy dopuszczają wielość dróg dojścia do celu, czy też narzucają jeden, rzekomo optymalny model rozwoju dla wszystkich regionów? Ważne jest, aby równoważyły one potrzebę indywidualnej samokreacji z wymogami solidarności społecznej, traktując przy tym konflikt poznawczy jako cenne źródło wiedzy. Konflikt ten, rozumiany jako spór o wartości, pozwala na korygowanie procedur, które stały się pozorne lub zbyt technokratyczne.

Bez zadania tych fundamentalnych pytań, Cele Zrównoważonego Rozwoju mogą zostać sprowadzone do czystej estetyki zarządzania, pozbawionej realnej mocy sprawczej. Kolorowe ikony, opasłe raporty, efektowne slajdy i certyfikaty mogą tworzyć iluzję ruchu, podczas gdy realne struktury opcji pozostają nienaruszone. To zjawisko nazywamy performatywną odpowiedzialnością, gdzie organizacja mówi o etyce tak długo i sprawnie, że zaczyna wierzyć, iż samo mówienie jest działaniem. Tymczasem mówienie staje się realnym działaniem tylko wtedy,

gdy zmienia faktyczne relacje społeczne, procedury decyzyjne oraz wymierne skutki podejmowanych interwencji. W przeciwnym razie mamy do czynienia jedynie z dymem kadzidlanym administracyjnej poprawności, który przesłania brak autentycznej woli zmiany. Dwanaście kryteriów nowego słownika pełni rolę testu antykonformistycznego, zmuszając centra władzy do zmierzenia się z niewygodną prawdą o ich działaniach.

Musimy szczerze zapytać, czy naprawdę słuchamy głosu obywateli, czy jedynie prowadzimy fasadowe konsultacje, by wypełnić formalne wymogi unijnych dyrektyw. Czy realnie tworzymy nowe opcje życiowe, czy tylko nakładamy na ludzi kolejne obowiązki, nie dając im narzędzi do ich rzetelnego wypełnienia? Czy szanujemy lokalność jako dom sensu, czy jedynie zbieramy lokalne dane, by nakarmić nimi centralny, odrealniony model zarządzania kryzysowego? Czy procesy edukacyjne rzeczywiście uczą krytycznego myślenia, czy sprowadzają się do moralizowania i dyscyplinowania tych, którzy nie nadążają za transformacją? Czy mierzymy to, co ma sens dla wspólnoty, czy tylko to, co jest łatwe do policzenia i przedstawienia w tabeli? Wreszcie, czy AI służy nam jako narzędzie deliberacji, czy jako maszyna oficjalizacji, służąca do wygładzania i uciszania trudnych konfliktów społecznych?

Ten ostatni wymiar, algorytmiczny, będzie odgrywał coraz większą rolę w kształtowaniu naszej wspólnej przyszłości, dlatego wymaga on szczególnej uwagi i krytycznego namysłu. Trzeba powiedzieć wprost: sztuczna inteligencja jest potężnym narzędziem świata trzeciego, czyli sfery obiektywnych treści umysłowych, ale nie jest sumieniem społeczeństwa. Może ona porządkować słowniki, generować scenariusze i ujawniać sprzeczności w dokumentach, niemniej nie posiada zdolności do empatii ani moralnego osądu. AI może reprodukować dominację słowników, które są najlepiej zapisane i najczęściej cytowane, utrwalając tym samym istniejące hierarchie władzy i prestiżu. Algorytm nie dowie się sam z siebie, czy dany opis upokarza konkretną grupę społeczną, jeśli wcześniej nie nauczymy go pytać o upokorzenie. Nie rozpozna on również fikcyjności oferowanych opcji, jeśli w proces analizy nie wbudujemy struktury realnych szans życiowych jednostek.

W tym sensie neopragmatyzm stanowi istotne ostrzeżenie dla epoki zdominowanej przez wielkie modele językowe, które stają się narzędziami obróbki naszych słowników. Skoro słowa są narzędziami działania, to modele AI są w istocie narzędziami narzędzi, potrafiącymi manipulować sensem na niespotykaną dotąd skalę. Musimy zatem pytać, jakie słowniki będą one wzmacniać: czy te promujące gładkie kompromisy, czy te pozwalające wybrzmieć autentycznemu, politycznemu gniewowi wykluczonych? Czy będą traktować dokument instytucjonalny jako bardziej wiarygodny niż żywe doświadczenie lokalne tylko dlatego, że ten pierwszy jest lepiej sformatowany? AI może stać się dla nas Dedalem, budowniczym nowych dróg wolności, albo labiryntem, w którym

zagubimy podmiotowość i zdolność do buntu. Wszystko zależy od słownika, który przyjmiemy za podstawę programowania tych systemów, oraz od naszej czujności wobec algorytmicznej maszyny oficjalizacji.

Zrównoważony rozwój musi zostać zhumanizowany, ponieważ w przeciwnym razie stanie się jedynie chłodnym zarządzaniem populacją w imię świata, który bez człowieka traci sens. Humanizacja nie oznacza tutaj antropocentrycznej arogancji wobec przyrody, lecz uznanie, że każda odpowiedzialność normatywna zawsze przechodzi przez ludzkie instytucje i emocje. Nawet gdy bronimy ekosystemów, czynimy to za pośrednictwem słowników, które muszą zostać społecznie przyjęte i praktycznie wykonane przez konkretnych ludzi. Kto lekceważy człowieka w procesie transformacji, ten nieuchronnie przegrywa także walkę o ochronę przyrody, gdyż to człowiek jest ostatecznym wykonawcą prawa. To on ponosi koszty zmian, uczestniczy w konfliktach o zasoby i jest autorem instytucji, które mają te zmiany trwale wdrażać.

Dlatego współczucie nie jest jedynie sentymentalnym dodatkiem do polityki, lecz stanowi epistemologiczne rozszerzenie naszego widzenia, pozwalające dostrzec temperaturę emocjonalną każdej decyzji. Pozwala ono zrozumieć, że sucha decyzja administracyjna może mieć dramatyczne skutki biograficzne dla konkretnych rodzin, niszcząc ich poczucie bezpieczeństwa i godności. Krajobraz może być dla kogoś domem sensu, a praca – ligaturą godności, której nie da się zastąpić prostym transferem socjalnym czy zasiłkiem. Opór społeczny należy traktować jako cenną informację o błędach systemu, a nie jako irracjonalny przejaw lęku przed postępem i nowoczesnością. Człowiek, który nie zgadza się z opinią eksperta, niekoniecznie jest przeciwnikiem rozumu, lecz może bronić wartości, których ekspert po prostu nie uwzględnił.

Sprawiedliwość społeczna oraz równość szans stanowią fundament legitymizacji wszelkich działań na rzecz klimatu, bez których transformacja energetyczna pozostanie jedynie projektem elitarnym. Nie można wymagać odpowiedzialności ekologicznej od ludzi, którym nie zapewniono realnych możliwości działania ani godziwych warunków do życia w nowym systemie. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zapewnienie uczestnikom procesu poczucia realnego wpływu i podmiotowości, jest warunkiem akceptacji zmian i uniknięcia oporu. Równość szans nie jest ozdobą zrównoważonego rozwoju, lecz jego moralnym i praktycznym warunkiem, wymagającym przejścia od sprawiedliwości potrzeb do sprawiedliwości szans. Człowiek potrzebuje bowiem czegoś więcej niż tylko minimum przetrwania; potrzebuje on możliwości tworzenia życia, które będzie mógł z dumą uznać za własne.

W tym procesie nie będzie jednego, ostatecznego modelu ani końcowego konsensusu, który raz na zawsze pogodziłby wszystkie sprzeczne interesy i wartości naszej cywilizacji. Czeka nas za to nieustanna, żmudna praca redeskrypcji, czyli tworzenia nowych słowników działania bez niszczenia

sensów, które podtrzymują nasze codzienne życie. Może to rozczarować tych, którzy pragną prostych, dogmatycznych rozwiązań, niemniej proste doktryny mają skłonność do tragicznego komplikowania życia ludziom, którzy w nich nie pasują. Silne są nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają języka, lecz te, które potrafią zmieniać język bez utraty odpowiedzialności za drugiego człowieka. Zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji pozwala nam na wspólne zamieszkiwanie świata, mimo nieuchronnych różnic i konfliktów, które nas dzielą.

Solidarność w przebudowie: jak naprawić arkę bez wykluczania

Warto w tym miejscu przywołać figurę Noego, która w naszej zbiorowej wyobraźni funkcjonuje jako niemal archetypowy symbol ratunku przed katastrofą. Jednak w polityce zrównoważonego rozwoju biblijna metafora natrafia na zasadniczy opór, bowiem nie możemy po prostu zbudować arki dla wybranych, pozostawiając całą resztę w wodzie. Nie stać nas również na luksus oczekiwania na jednego sprawiedliwego budowniczego, który jako jedyny posiada monopol na plan ocalenia. Nasza arka jest społeczeństwem, w którym już mieszkamy – konstrukcją nieszczelną i nierówno podzieloną, gdzie jedni mają suche kajuty, inni mokre deski pod stopami, a część pasażerów dopiero teraz dowiaduje się, że musi wiosłować. Zrównoważony rozwój nie jest ucieczką z tego statku, lecz jego przebudową w czasie rejsu, co czyni transformację w zamieszkanym domu zadaniem karkołomnym. To dlatego metafora ta wymaga rozszerzenia: to remont arki na wzburzonym morzu, co brzmi absurdalnie, ale właśnie dlatego tak trafnie przypomina politykę.

Nie budujmy więc utopii na cudzym upokorzeniu, gdyż jest to jedna z najważniejszych maksym końcowych tego wywodu. Każdy projekt przyszłości, który wymaga systemowej degradacji części ludzi, powinien być z definicji traktowany jako podejrzany. Dotyczy to nawet tych wizji, które legitymizują się najszlachetniejszymi celami – a może ich w szczególności, bo to one bywają najbardziej zwodnicze. Dobre cele stają się śmiertelnie niebezpieczne w momencie, gdy zaczynają zwalniać swoich wyznawców z elementarnej empatii i pokory wobec cudzego losu. Historia zna wiele projektów, które zaczynały od obietnicy zbawienia, a kończyły na pogardzie dla tych, którzy nie chcieli być zbawiani według narzuconej instrukcji. Zrównoważony rozwój musi wykształcić w sobie trwałą odporność na tę pokusę, pamiętając, że droga do celu nie może unieważniać podmiotowości tych, którzy nią kroczą.

W tym procesie nie wolno nam mylić wskaźnika z życiem, które zawsze pozostaje gęstsze niż jakikolwiek pomiar. Jeżeli statystyki wykazują poprawę, ale dzieje się to kosztem niewidzialnego cierpienia, mamy do czynienia z fałszywym postępem. Musimy przy tym uważać na maszynę

oficjalizacji, czyli ryzyko wykorzystania technologii do wygładzania i upraszczania trudnych, wielogłosowych narracji społecznych w imię administracyjnego spokoju. Jeżeli oficjalny raport pokazuje sukces, a ludzie czują się bardziej bezradni, oznacza to, że wystąpił fundamentalny błąd słownika. Strategia, która osiąga założone cele, ale niszczy zaufanie, tworzy dług społeczny, który zawsze powraca z wysokimi odsetkami populizmu. Nie traktujmy lokalnego oporu jak awarii świadomości, gdyż może on być jedynym sygnałem, że projekt pominął ważny element lub koszt.

Społeczeństwo otwarte nie idealizuje sprzeciwu, ale go słucha, wiedząc, że lekceważenie oporu prowadzi do buntu, podczas gdy jego słuchanie pozwala na zbiorowe uczenie się. Warto przy tym postrzegać konflikt poznawczy jako spór będący sygnałem o błędach instytucjonalnych, a nie jako usterkę, którą należy usunąć. Kluczowym warunkiem akceptacji zmian jest sprawiedliwość proceduralna, czyli zapewnienie uczestnikom poczucia realnego wpływu na planowanie transformacji. Nie wymagajmy zmiany bez opcji zmiany, gdyż ta zasada powinna stać się fundamentem działań w państwie, biznesie i edukacji. Jeśli obywatel ma zmienić sposób ogrzewania, musi mieć do tego narzędzia, a pracownik zmieniający kompetencje potrzebuje czasu i wsparcia. Obowiązek pozbawiony realnej opcji wyboru staje się przymusem, nawet gdy w oficjalnym dyskursie nazywa się go odpowiedzialnością.

Nie zrywajmy więzi, czyli tych głębokich relacji nadających sens ludzkim działaniom, bez odpowiedniego rytuału przejścia, który pozwoli na publiczne uznanie strat. Nowoczesność zbyt często zakładała, że stare światy po prostu wyparują, a ludzie bezrefleksyjnie dostosują się do nowych reguł gry. Tymczasem stare światy nie znikają bez śladu; zostają w pamięci, gniewie i nostalgii, a ostatecznie znajdują ujście w radykalnym języku polityki. Transformacja, która nie potrafi pożegnać przeszłości z godnością, będzie przez tę przeszłość nieustannie nawiedzana. Każdy region, zawód czy wspólnota potrzebują nie tylko finansowej rekompensaty, lecz także nowej opowieści przejścia, bez której przyszłość wygląda jak brutalna eksmisja. Zamiast szukać definitywnego końca rozmowy, powinniśmy dążyć do wypracowania lepszych warunków jej prowadzenia.

To sedno neopragmatycznej demokracji, w której zrównoważony rozwój rozumiany jest jako otwarty proces redeskrypcji, a nie gotowy plan. Redeskrypcja, czyli praktyka polegająca na tworzeniu nowych słowników działania bez niszczenia sensów podtrzymujących życie, pozwala na ewolucję postaw bez poczucia utraty tożsamości. Taka postawa to antyfundacjonalizm, czyli przekonanie, że normy rozmowy pochodzą z naszych wspólnych praktyk, a nie z jakiegoś pozaludzkiego fundamentu. Społeczeństwo otwarte nie jest rajem powszechnej zgody, lecz ustrojem nieustannej korekty, który potrafi cywilizować i instytucjonalizować spory. Podczas gdy fundamentalizm czy biurokracja marzą o zakończeniu sporu przez prawdę lub procedurę, my

wybieramy drogę ciągłego uczenia się. Jest to proces mniej efektowny niż triumf ostatecznej racji, ale znacznie bezpieczniejszy dla naszej wolności.

Nie pozwólmy, aby solidarność stała się estetyką dominacji, w której silniejsi protekcjonalnie wyjaśniają słabszym, co jest dla nich obiektywnie dobre. Prawdziwa solidarność polega na tym, że ci, którzy posiadają władzę, są gotowi oddać część kontroli nad samą definicją problemu. Silne są bowiem nie te instytucje, które nigdy nie zmieniają języka, lecz te, które potrafią go zmieniać bez utraty odpowiedzialności za wspólnotę. W zrównoważonym rozwoju oznacza to gotowość do korekty projektu pod wpływem autentycznych doświadczeń tych, którzy poniosą największe koszty zmian. Nie dopuśćmy, by wolność stała się przywilejem tych, którzy mają opcje, tworząc w ten sposób nową, zieloną stratyfikację. Jak przypominał Ralf Dahrendorf, wolność musi posiadać konkretną strukturę społeczną – trzeba ją nieustannie budować, finansować i chronić, aby nie stała się jedynie opowieścią zwycięzców.

Zrównoważony rozwój jako transformacja w zamieszkanym domu

Nie pozwólmy, aby sztuczna inteligencja przeobraziła się w maszynę oficjalizacji, czyli mechanizm wygładzający wielogłosowe narracje społeczne do postaci administracyjnie strawnej papki. Modele językowe będą coraz częściej pisały, streszczały i interpretowały zrównoważony rozwój, co niesie ze sobą zarówno szansę na demokratyzację słowników, jak i ryzyko ich jałowej standaryzacji. Algorytm nie powinien pełnić funkcji księgowego duszy społecznej, lecz stać się narzędziem pomagającym dostrzec momenty, w których nasz własny język staje się zbyt ciasny. Należy zatem projektować te systemy w taki sposób, aby wzmacniały one pluralizm, krytykę oraz widzialność doświadczeń dotychczas pomijanych w głównym nurcie debaty. Ostatecznie technologia ma służyć poszerzaniu horyzontów, a nie zamykaniu ich w bezpiecznych, lecz martwych schematach biurokratycznej poprawności.

Cały niniejszy esej można streścić jako żarliwą obronę idei zrównoważonego rozwoju przed jej przedwczesnym i szkodliwym zamknięciem w sztywnych ramach. Musimy chronić tę koncepcję przed uwięzieniem w technokracji, moralizatorstwie, mechanizmach rynkowych, biurokracji czy wreszcie w niebezpiecznych, totalizujących utopiach jednego słownika. Zrównoważony rozwój, czyli otwarty proces cywilizowanego uczenia się w warunkach nieuchronnego konfliktu interesów, ma sens wyłącznie jako struktura niedomknięta. Jego przedmiotem jest bowiem życie, które wymyka się wszelkim próbom ostatecznego skatalogowania bez bolesnych strat dla ludzkiej podmiotowości.

Otwartość ta nie oznacza jednak zgody na chaos, lecz stanowi fundament dla dynamicznej równowagi między stabilnością a konieczną zmianą.

Otwartość procesu wymaga paradoksalnie istnienia silnych instytucji, uczciwych procedur, sprawiedliwego prawa oraz odpowiedzialnej ekonomii wspartej kompetentną nauką i odważną edukacją. Silna instytucja nie jest jednak tworem nieomylnym, lecz taką strukturą, która potrafi uczyć się na błędach bez porzucania odpowiedzialności za swoje działania. Podobnie silne prawo nie może pozostawać głuche na społeczne niepokoje, lecz powinno organizować konflikt i chronić godność wszystkich uczestników debaty. Silna ekonomia z kolei to taka, która dostrzega koszty wykraczające poza cenę rynkową, wiedząc, że ich ignorowanie prowadzi do politycznego bankructwa. Wszystkie te formy muszą pozostać korygowalne, gdyż tylko w ten sposób mogą służyć społeczeństwu, zamiast nad nim panować.

Silna edukacja nie polega na wdrażaniu posłuszeństwa, lecz na kształtowaniu krytycznej solidarności, która pozwala rozumieć złożoność świata bez popadania w nihilizm. Zrównoważony rozwój jako proces negocjacji oparty na współczuciu i sprawiedliwości społecznej jest konieczny nie ze względów estetycznych, lecz dlatego, że dostępne alternatywy są znacznie gorsze. Technokratyczny przymus nieuchronnie produkuje opór, podczas gdy moralizatorska presja rodzi jedynie wstyd, cynizm i społeczne wycofanie. Rynek pozbawiony korekty generuje drastyczne nierówności, a wspólnota pozbawiona wolności zamienia się w duszne ligatury, czyli więzi, które zamiast nadawać sens, zaczynają uciskać jednostkę. Wolność bez wspólnoty prowadzi do egzystencjalnej pustki, a utopia niemal zawsze kończy się przemocą wobec tych, którzy nie pasują do idealnego planu.

Społeczeństwo otwarte nie jest rajem powszechnej zgody, lecz ustrojem ciągłej korekty, co stanowi właściwy sens fallibilizmu w sferze politycznej. Nie chodzi tu o czysto akademicką skromność, lecz o budowanie architektury przetrwania, która uwzględnia fakt, że jako ludzie możemy się po prostu mylić. Skoro nasze słowniki są przygodne, musimy tworzyć procedury ich redeskrypcji, czyli tworzenia nowych sposobów opisu świata bez niszczenia sensów podtrzymujących życie. Musimy badać skutki naszego języka, gdyż nawet cele wyznaczane w dobrej wierze mogą prowadzić do upokorzenia tych, których głos został pominięty. Budowanie sprawiedliwości szans wymaga uznania, że opcje życiowe są rozłożone nierównomiernie i wymagają aktywnej interwencji państwa oraz społeczeństwa.

Skoro konflikt społeczny jest elementem nieusuwalnym, naszym zadaniem jest uczynienie go produktywnym poprzez ramy sprawiedliwości proceduralnej, zapewniającej uczestnikom poczucie realnego wpływu. Przyszłość nie ma jednego autora, dlatego musimy nauczyć się trudnej sztuki współautorstwa, która wymaga rezygnacji z marzeń o narzuconej odgórnie harmonii.

Zrównoważony rozwój nie jest programem ochrony planety przeciwko człowiekowi ani człowieka przeciwko planecie, lecz projektem przebudowy relacji między nami a materialnymi warunkami życia. Jest to praktyka odpowiedzialnej niezgody, która zamiast szukać ostatecznego konsensusu, skupia się na kulturze ciągłego uczenia się i adaptacji. Propozycja ta zmierza do rozszerzania szans życiowych w świecie, którego granice są realne, ale którego sensy muszą być nieustannie negocjowane.

Powróćmy do centralnej metafory transformacji w zamieszkanym domu, która najlepiej oddaje istotę całego projektu przebudowy naszej współczesnej cywilizacji. Dom ten wymaga pilnej naprawy: dach przecieka, instalacje są przeciążone, a fundamenty w wielu miejscach słabną, co zagraża bezpieczeństwu wszystkich mieszkańców. Niektóre pomieszczenia są podzielone w sposób rażąco niesprawiedliwy, przez co jedni cieszą się przestrzenią, podczas gdy inni wegetują przy wilgotnej ścianie. Nie możemy udawać, że sytuacja jest stabilna, ale nie wolno nam też wpaść do środka z ekipą rozbiórkową i burzyć wszystkiego w imię abstrakcyjnego dobra. Konieczny jest dialog z mieszkańcami, rzetelna diagnoza problemów oraz zaproponowanie rozwiązań, które ocalą to, co w tym domu wciąż ma sens.

Takie podejście jest z pewnością mniej heroiczne niż rewolucja i znacznie bardziej skomplikowane niż wydanie jednostronnego dekretu przez oświeconą władzę. Transformacja w zamieszkanym domu wymaga rzemiosła politycznego, które szanuje codzienność mieszkańców i nie myli ich z przeszkodami na drodze do postępu. Solidarność zaczyna się od uznania, że każdy projekt publiczny, nawet ten dotyczący infrastruktury czy klimatu, wchodzi komuś bezpośrednio do jego prywatnej przestrzeni. Zrównoważona przyszłość nie może być budowana poprzez wygnanie ludzi z ich dotychczasowych sensów, lecz musi respektować ich zakorzenienie, nawet gdy je przebudowuje. To zdanie powinno stać się centralną maksymą nowego słownika, który kładzie nacisk na podmiotowość i godność każdego uczestnika procesu zmiany.

Druga maksyma głosi, że prawdziwy rozwój polega na pomnażaniu dostępnych opcji, a nie na narzucaniu kajdan ubranych w atrakcyjne, utopijne szaty. Każda polityka, która ogranicza wolność w imię świetlanej przyszłości, musi jasno odpowiedzieć na pytanie, jakie nowe, realne możliwości tworzy dla obywateli. Jeśli zmiana nie generuje nowych szans, staje się jedynie formą przymusu, która prędzej czy później wywoła gwałtowny opór społeczny. Każda wspólnota żądająca lojalności musi jednocześnie zapewniać prawo do wyjścia, w przeciwnym razie zamienia się w strukturę opresyjną i duszną. Państwo mówiące o odpowiedzialności musi sprawiedliwie rozdzielać koszty transformacji, aby nie moralizować nierówności i nie przerzucać ryzyka na najsłabsze grupy społeczne.

Trzecia maksyma nakazuje chronić klimat poprzez budowanie przestrzeni rezonansu, a nie wznoszenie murów moralnego upokorzenia wobec tych, którzy nie nadążają za zmianami. Ochrona biosfery wymaga twardych i zdecydowanych działań, niemniej jednak stanowczość ta nie musi i nie powinna wiązać się z pogardą dla inaczej myślących. Można wymagać od społeczeństwa wyrzeczeń, jednocześnie uważnie słuchając jego obaw i uznając realność strat, jakie ponoszą konkretne grupy zawodowe czy regionalne. Nauka powinna być narzędziem zrozumienia świata, a nie pałką służącą do uciszania krytycznych pytań czy instrumentalizacji obecnych pokoleń w imię przyszłych. Budowanie solidarności bez tonu wyższości to nie przejaw słabości, lecz dowód dojrzałości instytucji, które potrafią łączyć skuteczność z empatią.

Czwarta maksyma przypomina, że wolności nie zabezpiecza się przez wymuszony konsensus, lecz przez zagwarantowanie prawa do odmiennego zdania w każdej istotnej kwestii. Zrównoważony rozwój potrzebuje zjawiska, jakim jest konflikt poznawczy, czyli spór traktowany jako sygnał o błędach instytucjonalnych lub braku zaufania w społeczeństwie. Potrzebujemy ludzi, którzy zadają niewygodne pytania o koszty, ukryte interesy, technokratyczną pychę oraz niespójność wyznaczanych odgórnie celów rozwojowych. Dissent nie jest wrogiem odpowiedzialności, lecz pełni funkcję systemu alarmowego, który chroni nas przed popadnięciem w samozadowolenie i ideologiczną ortodoksję. Wyłączanie tych alarmów tylko dlatego, że zakłócają one spokój decydentów, jest strategią skrajnie nieodpowiedzialną i groźną dla bezpieczeństwa wspólnoty.

Piąta maksyma sugeruje, aby zamiast szukać absolutnych fundamentów moralnych, skupić się na praktycznym rozszerzaniu naszego wspólnego „my" na coraz szersze kręgi. To antyfundacjonalistyczne podejście, zakładające, że normy rozmowy pochodzą z ludzkich praktyk, a nie z zewnętrznych fundamentów, pozwala nam być mniej okrutnymi. Nasze „my" musi objąć ludzi z różnych klas, regionów i kultur, a także istoty pozaludzkie, których los zależy od stabilności naszych instytucji. Rozszerzanie wspólnoty nie może być jednak formą aneksji, w której włączenie odbywa się pod warunkiem porzucenia przez innych ich własnego języka. Prawdziwe poszerzenie wymaga cierpliwości, przekładu oraz zgody na to, że nasza własna tożsamość również ulegnie zmianie w wyniku tego spotkania.

Należy otwarcie powiedzieć rzecz niewygodną dla konformistów: zrównoważony rozwój nie będzie procesem komfortowym i jeśli takim się wydaje, to prawdopodobnie został źle zrozumiany. Będzie on wymagał realnych ograniczeń, ogromnych inwestycji, bolesnych konfliktów oraz rezygnacji z części dotychczasowych przywilejów przez grupy najlepiej sytuowane. Niemniej jednak trudność ta nie usprawiedliwia stosowania przemocy symbolicznej ani nie zwalnia nas z obowiązku zachowania empatii wobec tych, którzy czują się zagrożeni. Pilność wyzwań klimatycznych nie może stać się pretekstem do zawieszania demokratycznych procedur czy rezygnacji z podmiotowego traktowania

każdego człowieka. Przyszłość, choćby najbardziej niepewna, nie daje nam prawa do deptania godności ludzi żyjących tu i teraz.

Zrównoważony rozwój zasługuje na miano cywilizacyjnego projektu tylko wtedy, gdy staje się słownikiem wspólnego zwiększania szans życiowych, a nie narzędziem zarządzania ludźmi. Nie może być on ani koronacją ekspertów, ani triumfem aktywistycznej pewności, ani tym bardziej rynkiem zielonych stylów życia czy jałowym rytuałem raportowym. Przyszłość nie potrzebuje naszej dogmatycznej pewności, która często zamyka dialog, lecz naszej odpowiedzialnej zdolności do ciągłego uczenia się i korygowania kursu. Pewność kocha jeden słownik i dąży do zakończenia rozmowy, podczas gdy uczenie się wie, że otwarta debata jest formą życia społeczeństwa. Zrównoważony rozwój to sposób wspólnego wędrowania po drodze, której nie znamy, w świecie stawiającym realne granice naszej ekspansji.

Najlepsze, co możemy zrobić, to porzucić złudzenie, że posiadamy ostatnie słowo w kwestii kształtu przyszłego świata i jego ostatecznego przeznaczenia. Możemy za to tworzyć takie instytucje, metafory i więzi, które pozwolą kolejnym pokoleniom formułować słowa mniej okrutne i bardziej sprawiedliwe. To jest właśnie zrównoważony rozwój rozumiany jako otwarty proces redeskrypcji, w którym wolność łączy się z ligaturami, które nie duszą człowieka. To jest nauka pozbawiona pychy, polityka wolna od utopijnej przemocy oraz ekonomia realnych szans życiowych oparta na procedurach chroniących ludzką godność. To jest wreszcie transformacja w zamieszkanym domu, gdzie społeczeństwo otwarte nie boi się przyszłości, ponieważ posiada odwagę do ciągłego poprawiania własnych słowników.

> Zrównoważony rozwój nie jest ostatecznym celem, do którego prowadzi nas mapa technokratyczna, lecz nieustannym dialogiem o kształcie naszego wspólnego domu. Czy potrafimy przeprowadzić tę fundamentalną przebudowę tak, aby nie zgubić w niej tego, co czyni nas ludźmi? Prawdziwa odporność systemu nie leży w jego bezbłędności, lecz w odwadze do przyznania, że każda wielka zmiana wymaga od nas porzucenia pychy na rzecz odpowiedzialnej pokory.

Inspiracje

[1] **"Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective"** Olaf Kühne, Karsten Berr, Irina Silina

2026 | Springer | ISBN: 978-3-031-56789-6

Olaf Kühne (ur. 1973 w Bochum) jest niemieckim geografem i socjologiem, profesorem ds. rozwoju miast i regionów na Uniwersytecie Eberharda Karlsa w Tybindze. Jego badania koncentrują się na zrównoważonym rozwoju, teorii krajobrazu i społecznej akceptacji zmian, często z perspektywy neopragmatycznej. Jest autorem licznych publikacji, w tym książki „Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026).

Olaf Kühne *(b. 1973 in Bochum) is a German geographer and sociologist, Professor of Urban and Regional Development at the Eberhard Karls University of Tübingen. His research focuses on sustainable development, landscape theory, and the social acceptance of landscape change, often from a neo-pragmatist perspective. He is the author of numerous publications, including "Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026).*

Karsten Berr, naukowiec związany z Uniwersytetem w Tybindze w obszarze geografii, rozwoju miejskiego i regionalnego, specjalizuje się w inter- i transdyscyplinarnej teorii, praktyce i etyce krajobrazu oraz architektury. W 2008 roku obronił doktorat z filozofii na FernUniversität w Hagen. Jest współautorem publikacji „Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026).

Dr. ***Karsten Berr*** *is a researcher in the field of urban and regional development, currently affiliated with the Eberhard Karls University of Tübingen. His academic work is highly interdisciplinary, bridging philosophy, sociology, and geography. He holds a doctorate in philosophy (2008) and has focused his research on the theory and ethics of landscape, landscape conflicts, and cultural theory. Berr is particularly noted for his contributions to neo-pragmatist approaches in social and spatial sciences, often integrating Karl Popper's 'Three Worlds' theory with Ralf Dahrendorf's 'life chances' approach. His scholarship explores how landscape is socially constructed and how these constructions influence social and political conflicts. He has authored and co-authored numerous works examining the intersection of human consciousness, societal structures, and the physical environment, emphasizing the importance of reflexive, interdisciplinary frameworks in understanding contemporary social-ecological transformations.*

Eberhard Karls University of Tübingen

Irina Silina jest badaczką w dziedzinie ekonomii przestrzennej, transformacji energetycznej i oceny polityk. Jako postdoktorantka w Forschungszentrum Jülich, Instytucie Systemów Klimatycznych i Energetycznych (ICE), współtworzyła książkę „Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026), poświęconą zrównoważonemu rozwojowi z perspektywy neopragmatycznej.

Irina Silina *is an academic researcher whose work intersects philosophy, social theory, and sustainable development. She is notably recognized for her collaborative research on the application of neo-pragmatist perspectives—drawing heavily from the philosophy of Richard Rorty—to contemporary societal challenges. Her academic contributions often focus on the conceptualization of sustainable development not as a fixed, teleological goal, but as a contingent, dialogical process. By integrating frameworks such as Karl Popper's 'Three Worlds Theory' and the concept of 'life chances,' Silina explores how individuals and societies navigate normative negotiation processes. Her research emphasizes the importance of creating resonant and meaningful transformations in social and environmental contexts, positioning her work at the nexus of social philosophy and practical sustainability studies.*

Forschungszentrum Jülich

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[1] "Philosophy and the Mirror of Nature"

Richard Rorty

1979 | Princeton University Press | ISBN: 978-0691020167

[2] "Contingency, Irony, and Solidarity"

Richard Rorty

1989 | Cambridge University Press | ISBN: 978-0521367813

[3] "Manifest Komunistyczny"

Karol Marks, Fryderyk Engels

2016 | Jirafa Roja | ISBN: 978-83-65323-00-5

[4] "Nędza filozofii"

Karol Marks

2010 | Wydawnictwo Naukowe PWN | ISBN: 978-83-01-16358-7

[5] "The Theory of Communicative Action, Volume 1: Reason and the Rationalization of Society"

Jürgen Habermas

1984 | Beacon Press | ISBN: 978-0-8070-1506-3

[6] "The Structural Transformation of the Public Sphere: An Inquiry into a Category of Bourgeois Society"

Jürgen Habermas

1989 | MIT Press | ISBN: 978-0-262-58108-0

[7] "Reason, Truth and History"

Hilary Putnam

1981 | Cambridge University Press | ISBN: 978-0-521-29776-9

[8] "The Collapse of the Fact/Value Dichotomy and Other Essays"

Hilary Putnam

2002 | Harvard University Press | ISBN: 978-0-674-01380-3

[9] "The Open Society and Its Enemies"

Karl Popper

1945 | Routledge | ISBN: 978-0-691-15813-6

[10] "The Logic of Scientific Discovery"

Karl Popper

1934 | Julius Springer | ISBN: 978-0-415-27844-7

[11] "Landscape Conflicts"

Karsten Berr, Lara Koegst, Olaf Kühne

2024 | Springer VS | ISBN: 978-3-658-43352-9

[12] "Class and Class Conflict in Industrial Society"

Ralf Dahrendorf

1959 | Stanford University Press | ISBN: 978-0-8047-0575-2

[13] "The Modern Social Conflict: An Essay on the Politics of Liberty"

Ralf Dahrendorf

1988 | University of California Press | ISBN: 978-0-520-06861-2

[14] "The Right to Sex: Feminism in the Twenty-First Century"

Amia Srinivasan

2021 | Farrar, Straus and Giroux

[15] **"Justice: What's the Right Thing to Do?"**
Michael J. Sandel
2009 | Farrar, Straus and Giroux

[16] **"Capital in the Twenty-First Century"**
Thomas Piketty
2013 | Harvard University Press

[17] **"The Idea of Justice"**
Amartya Sen
2009 | Harvard University Press

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] **"Toward a Theory of Social Conflict"**
Ralf Dahrendorf
1958 | The Journal of Conflict Resolution | DOI: 10.1177/002200275800200204
Google Scholar

[2] **"The Relevance of Philosophy in Shaping Contemporary Social Ethics"**
Jakoep Ezra Harianto
2025 | International Journal for Science Review
Google Scholar

[3] **"Mind-Body Identity, Privacy, and Categories"**
Richard Rorty
1965 | The Review of Metaphysics
Google Scholar

[4] **"The Priority of Democracy to Philosophy"**
Richard Rorty
1988 | The Virginia Statute for Religious Freedom
Google Scholar

[5] **"Grounding Human Rights in Political Conceptions"**

Bosko Tripkovic

2021 | Journal of Ethics and Social Philosophy

Google Scholar

[6] **"The New Spirit of Capitalism"**

Luc Boltanski, Ève Chiapello

2018 | International Journal of Politics, Culture, and Society

Google Scholar

[7] **"Discourse ethics: Notes on a program of philosophical justification"**

Jürgen Habermas

1990 | Moral Consciousness and Communicative Action | DOI: 10.1017/CBO9780511624537.004

Google Scholar

[8] **"Three normative models of democracy"**

Jürgen Habermas

1994 | Constellations | DOI: 10.1111/j.1467-8675.1994.tb00001.x

Google Scholar

[9] **"The Meaning of 'Meaning'"**

Hilary Putnam

1975 | Minnesota Studies in the Philosophy of Science | DOI: 10.1017/CBO9780511625251.014

Google Scholar

[10] **"Psychological Predicates"**

Hilary Putnam

1967 | Art, Mind, and Religion | DOI: 10.1017/CBO9780511625251.022

Google Scholar

[11] **"Epistemology Without a Knowing Subject"**

Karl Popper

1967 | Proceedings of the Third International Congress for Logic, Methodology and Philosophy of Science | DOI: 10.1016/S0049-237X(08)70606-4

Google Scholar

[12] "The Sustainable Development Goals: A Critical Perspective"

Frank Biermann, Norichika Kanie, Rakhyun E. Kim

2017 | Nature Sustainability

Google Scholar

[13] "The Contributions of Philosophy and the Social Sciences to Landscape Conflict Research—A Critical Comparison"

Karsten Berr, Petra Lohmann, Olaf Kühne

2023 | Land | DOI: 10.3390/land12122165

Google Scholar

[14] "Social Constructivism and the Philosophy of Science"

Ian Hacking

2016 | Journal of Philosophy

Google Scholar

Tekst opracowany z udziałem sztucznej inteligencji.
Redakcja i kontrola merytoryczna: Fundacja Dobre Państwo.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 471d677b-945e-453e-9d07-4dce05e75e67